

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok 2

Łódź, 29 lipca 1946 r.

Nr 29 (47)

MARIA FIDERER

Na zamku Mackbetha

Szkocja, wiosna 1946.

Rzeka Tweed dzieliła niegdyś szczyty Szkotów i Brytyjczyków. Potem stała się mniej lub bardziej uznawaną granicą pomiędzy dwoma suwerennymi królestwami, które, jak zawsze w historii walczyły o suwerenność czy o niepodległość. Historia wspomina, że w czasie tych walk jeszcze Edward I gromadził swe wojska właśnie nad rzeką Tweed, aby zmusić Szkocję do hołdu lennego, a przede wszystkim do płacenia lennych podatków. Zawarta dobrowolnie w 1707 roku Unia była zwycięstwem zasady wolnego handlu i tendencji do swobodnego przekraczania, lub znoszenia wszelkich granic celnych cechującej obie grupy porozumiewających się Whigów — angielską i szkocką. Unia ta, jak twierdzi Trevelyan (English Social History) dla Szkocji oznaczała prawie całkowity zanik życia parlamentarnego, które tu zresztą nigdy nie było bujne, ale wzamian za to kraj ten dostał się na angielskie rynki kolonialne. Przywilej ten pozwolił mu wydobyć się nieco ze skrajnej nędzy.

Ale rzeka Tweed nie przestała być linią demarkacyjną. Mimo że zdegradowano ją do wytycznej geograficznego podziału na Anglię i Szkocję, w dalszym ciągu „dzieli dwie kultury, dwie różne postawy społeczne, dwie tendencje psychiczne”. Na południe od rzeki Tweed porridge jada się z cukrem, na północ — ze solą.

Wielu ludzi powierzchownych, albo zbyt mało subtelnych mogłoby twierdzić, że różnica ta jest całkowicie bez znaczenia, ale dowiedliby tym tylko swego niezrozumienia spraw najbardziej istotnych i różniących się tak zasadniczo, jak smak soli różni się od smaku cukru. Sprawy te stanowią paragraf kodeksu praw obywatela, a ilość mleka do herbaty, czy przyprawa jakiej używa do śniadaniowego porridgu jest równie ważna i uznawana z milczącą aprobatą, jak jego przekonania polityczne lub przynależność do kościoła.

Tak więc słony porridge staje się punktem wyjścia dla badań terenowych i pierwszym problemem, który należy wyjaśnić, kiedy się wjeżdża w brudny halaśliwy i oblepiony reklamami dworzec Glasgowa. Metoda ankietowa nie daje rezultatu. Kelnerka w restauracji zapytana o wyjaśnienie przy śniadaniu patrzy na mnie z niepokojem. „Its lovely. Isn't it?”. Myśli bowiem, że porridge mi nie smakuje.

BARDZO BRZYDKIE MIASTO

Krajobraz wnosi w rozważania nowe elementy. Glasgow jest największym po Londynie miastem Zjednoczonego Królestwa, brzydkim, czarnym miastem, wilgotnym od szkockiego deszczu, który pada systematycznie co parę godzin po parę godzin. Mimo swej pozycji w przemyśle, miasto robi zdumiewająco prowincjonalne wrażenie, zwłaszcza w niedziele, kiedy przeważająca większość restauracji i kin jest hermetycznie zamknięta, a purytańskie szkockie rodziny ciągną gromadkami do kościołów. Być może jedynym lekarstwem na przytłaczającą szarym otoczenia są kolorowe kilty dzentle-mentów odświętnie ubranych i z dumą obnoszących rodowe tartany po przykościelnych ulicach. Ale kilty spotyka się teraz coraz rzadziej, zwłaszcza w Glasgowie, jako strój w gruncie rzeczy niepraktyczny, a bardzo kosztowny ze względu na bardzo dużą ilość materiału i kuponów.

Uniwersytet glasgowski nie jest nawet, jak na stosunki angielskie, stary i tylko z obowiązku turystów i trochę dla pocieszenia stwierdzamy, że jest ładnie położony w dolinie rzeki i oglądany z gór parkowej wygląda dość monumentalnie. Ale na tym się kończy. Teatrów jest śmiesznie mało jak na takie duże miasto, bardzo dużo sklepów z normalnym zestandaryzowanym towarem. Wiekli złożyły się na to, ażeby z Glasgowa zrobić stolicę skrzetnego, handlowego i surowo religijnego drobnomieszczanstwa.

Miasto uważane w okresie Restauracji za

pierwszorzędne centrum handlu i przemysłu traci wiele w czasie głodu za Wilhelma. Rzeka Clyde jest wtedy dostępna jeszcze tylko dla czółen i łodzi. Wszyscy kupcy glasgowscy mają razem 1182 ton tonażu okrętowego. Mimo to Glasgow jest ostatnim etapem już wówczas znanej, zachodniej cywilizacji przed zupełnie dziką, romantyczną i prawie legendarną krainą szkockich gór — Highland. Mieszkańcy są obyczajni, surowi w swej prezbiteriańskiej pobożności, prości w obyczajach, oszczędni w wydatkach i nieprzejednani trzeźwi.

Ale rok tysiąc osiemsetny przynosi wielkie zmiany. Historyk skarży się, że „miasto liczy osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców wyraźnie podzielonych na odrębne grupy przez różnice bogactwa i obyczajów i nie ma już pomiędzy nimi klas społecznych sławnych tylko ze swej pobożności albo abstynencji”. Amerykański i wschodnio-indyjski handel głównie tytoniem i bawełną przekształcił Glasgow i całą Clydeside na przełomie stulecia w najbardziej nowoczesny w Anglii okręg przemyślowo-handlowy.

„Były tam wtedy sklepy dla zadowolenia wszystkich gustów, pełne towarów z Anglii, Europy i Ameryki. Bywały lektyki i koncerty, bale, gry w karty i w kości, poncz, wino i angielska literatura dla bogatych i Highland whisky dla ubogich”. Rzeka Clyde staje się wielką arterią nawigacyjną, na brzegach Clyde wyrastają doki, w dąbaku Robert Napier of Schandon buduje pierwszy parowiec dla Cunard Company. Wreszcie Glasgow daje światu James Watt'a, a na glasgowskim uniwersytecie rozpoczyna wykłady Adam Smith, wówczas już światowa sława w badaniu istoty bogactwa ludzkiego.

Dokoła doków osną slumsy, a sytuację pogarsza jeszcze napływ irlandzkich robot-

ników, tak, że w końcu dzielnice slumsowe stają się jeszcze gorsze od sławnych ze swego braku komfortu, ubóstwa i skromności najgorszych domów szkockich. Dziś obok tradycyjnie purytańskich mieszczan widać wyraźnie tamtą, nową klasę. W każdym wylocie ulic wyrastają żelazne ramiona kranów dokowych, które sztywnie poruszają się na tle szarego i jednostajnego nieba. Cały Glasgow ujęty jest w oprawę poplątanych mechanicznych konstrukcji, rur i drutów o wysokim napięciu, kominów i dźwigarów, rurociągów i żelaznych rusztowań.

Ta, dla laika geometryczna łamigłówka jest do dziś ośrodkiem największej produkcji statków angielskich, z którego wyszły największe transatlantyki jak „Queen Elisabeth”, „Queen Mary”, aby raz jeszcze przypomnieć światu odwieczną zasadę, że „England rules the waves”, na pośmiewisko zuchwałych idei Jakuba czwartego, który w swym nieprzejednanym seperatyzmie budował samodzielną szkocką flotę, aby współzawodniczyć z Anglią na morzach, na chwałę dyplomacji angielskiej, która tu, w centrum historycznej nienawiści i antyangielskich kno-wań buduje podstawę swej morskiej potęgi.

Slumsy zaś, w kolorowej różnorodności porozwieszanej na sznurkach bielizny, powykrzywianych malowniczo ścian i dachów, mrowiącego się w błotnistych uliczkach codziennego zaabsorbowanego tłumy, są bardziej jednostajne i podobne do siebie we wszystkich miastach, aniżeli jednorodnie domki w londyńskich crescentach.

Slumsy ciągną się długo jeszcze wzdłuż asfaltowej szosy, przerywane miejscami przez puste rozległe place, porośnięte sztywną, żółtą trawą, na której pasą się kozy. To ślady bombardowań, które tu, w pobliżu doków były ciężkie i skuteczne.

„LAND OF BROWN HEATH AND SHAGGY WOOD”.

Dzisiejsi mieszkańcy slumsów i konsumenci słonego porridgu mają wcale szlachetne parantele historyczne choć ich kroniki rodzinne i historia ich kraju zawsze mówiły o skrajnym ubóstwie tych ziem.

Zazdrośni, a złośliwi Northumberlandczy, przez których kraj wiodła droga do Szkocji zwykli byli ostrzegać nielicznych podróżnych z Południa, że „Szkocja jest najbardziej barbarzyńskim krajem na świecie”.

Może nawet nie była tak barbarzyńska, jak przede wszystkim uboga.

Szkoci uprawiali swą ziemię przy pomocy możliwie najbardziej prymitywnych metod. W dodatku często kilku farmerów łączyło się w grupy dla wspólnej pracy na roli tak, że w wielu wypadkach pięćdziesięciofuntowy dochód z jednej farmy dzielił się pomiędzy dwunastu jej współposiadaczy. Ludzie stali prawie zawsze przed katastrofą głodu, który co jakiś czas wybuchał z całą siłą nie hamowaną przez sąsiadów-Anglików i powodował naprzód wysoką śmiertelność, potem wzmożoną emigrację.

W Szkocji jeszcze dziś spotyka się mało ziemi uprawnej. Maszerując na małą górską wycieczkę widzi się po obu stronach asfaltowej szosy, za niskim kamiennym murkiem zieloną i rudą szorstką trawę, rzadkie krzaki i drzewa, a cyfry powiadają, że na 19 milionów hektarów powierzchni jest tylko trzy miliony ziemi uprawnej. Do dziś jeszcze pięć milionów Szkotów jest mniejszością gatunkową w swym kraju wobec siedmiu milionów swoich własnych owiec, których stada spotyka się wszędzie.

Ale owce nie dają renty gruntowej i są podstawą dość prymitywnego gospodarstwa pasterskiego, toteż trudno się dziwić, że herbata w tym kraju uważana była za bardzo cenne i odpowiednio drogie lekarstwo, a głównym pożywieniem ludzi był porridge. Nie jest wykluczone (choć historia o tym nie wspomina) że równie cenną i rzadką przyprawą był cukier zwłaszcza w porównaniu ze solą, którą Szkoci wydobywali u siebie.

Kraj więc mimo sławnej szkockiej gościnności, która każdego przybysza karmiła wędzonym łososiem i zalewała piwnym cieniukiem własnej produkcji — nie cieszył się popularnością. Najwyżej dwunastu podróżnych na rok zaglądało tutaj dla przyjemności, wymiana towarów do czasu Unii była bardzo niewielka, poczta londyńska miała często tylko jeden list do Edynburga.

Ubóstwo pociąga za sobą inne jeszcze braki i niedogodności. Nawet Daniel Defoe, który miał sentyment dla rycerskich i uczciwych Szkotów mógł ich bronić używając tylko takich argumentów: „Gdyby jakikolwiek inny naród miał żyć w tak nieszczęśliwym położeniu, myśle wśród gór i skał, przy braku wody i wielkich trudnościach w przyniesieniu nawet małej jej ilości, mielibyśmy Londyn czy Bristol tak samo brudny, jak Edynburg. Bo chociaż wiele miast ma więcej mieszkańców, jednak wydaje mi się, że w żadnym mieście na świecie tylu ludzi nie mieszka w jednym tak małym pokoju”.

Wspólna nędza wpłynęła na to, że feudalny system szkocki był jednocześnie systemem bardziej patrymonialnym. I pan feudalny i ludzie dzierżący jego ziemię żyli w sąsiedztwie, we wspólnej trosce o chleb, czy porridge codzienny, a brak bogactw zacięrał różnicę między ludźmi.

Trudno byłoby ustalić jakieś hierarchie przyczynowe, ale faktem jest, że w parze z surowym i ubogim trybem życia szła ich religia fanatyczna, surowa i pełna bigoterii, która szybko skostniała w system norm, nakazów i zakazów święcie przestrzeganych. Normy religijne sprawiły to, że Szkoci uważani byli powszechnie za ludzi bardzo uczciwych, wśród których rabunki i włamania były prawie nieznanne i nawet w miastach domy zostawiano otwarte, choć policja zbrojna była tylko w halabardy.



JOHN CROME

Krajobraz z chaty

Z drugiej strony jednak stolica Szkocji cierpiała wskutek tego na wieczne zacołanie rządzone przez twarde prawo religijne zakazujące w niedzielę tańców i przedstawień teatralnych „a w sabbath próżniaczego wyglądu przez okno”. Walki religijne były tu ostre i fanatyczne.

„Bieda i religijny fanatyzm ponad wszystkie inne różnice ukształtowały narodowy charakter Szkotów jednocząc ich wszystkich w moralnym i intelektualnym antagonizmie do bogatej i bardziej liberyńskiej cywilizacji na południe od gór Cheviots.

Jeszcze za czasów Wilhelma powieszono w Edynburgu nieszczęsnego studenta, który wyraził jakieś swoje wątpliwości co do Trójcy Świętej i autorytetów Pisma w sposób, który w ówczesnej kawiarni londyńskiej wywołalby tylko grymas niezadowolenia. Dopiero rewolucja przemysłowa i rewolucja obyczajów rozślawia uniwersytet edynburski szkołą filozofów, nazwiskami Huma, Robertsona i Douglasa Stewarta.

Dopiero z końcem XVIII wieku śpiewane w ich szorstkim języku ludowe ballady stają się początkiem wielkiej literatury Burns'a i Scotta.

Jeżeli krajobraz niepokojony kominami fabryk i niemierzony w akrach uprawnej roli mówi coś o charakterze ludu, który go zamieszkuje, to góry szkockie są także właśnie smętne i dzikie jak ludowe ballady Jezioro Loch Lomond przewala się szarymi falami i pianą zalewa brzeg. Ben Lomond stoj sam jeden srebrny od śniegu dziwnie alpejski wśród innych gór różowych i rudych od trawy czy wrzoścu. Czasem, kiedy z poza płynącej mgły błysnie słońce, kolory nabierają ostrości i intensywności w chłodnym przejrzystym powietrzu i „kraj brunatnego wrzoścu i kosmatych drzew” wygląda jak kolorowa ilustracja do powieści Scotta.

ROZWÓJ SOCJALIZMU OD UTOPII DO RZECZYWISTOŚCI

W połowie XVIII wieku pobudowano także drogi wiodące w serce gór do Highlandu, w którym dotychczas żadnym konwenansem ludzi z dolin nieskrępowane żyły z rabunku i wojen półdzikie klany podlegające bezapelacyjnej jurysdykcji Szefa.

Handel idący drogami, napływ handlujących Anglików, podniesienie się stopy życiowej, większy przyrost ludności, pierwsze wyraźne zarysowanie się różnic klasowych — wszystko to razem spowodowało gwałtowny odpych wojowniczych górali w doliny w poszukiwaniu nowych możliwości życia. Część z nich wcielono do Regimentów Korony, gdzie dobrze i dzielnie zastąpili się Imperium, część zatrzymała się aż w Ameryce, a potem w Kanadzie. Część zapelniając nowe doki i nowe fabryki stała się nową klasą społeczną, którą tak żywo interesował się Engels.

W ówym to czasie, w latach osiemdziesiątych osiemnastego stulecia na południowy wschód od Glasgow w New Lanark niejaki David Dale zbudował przedziałnię bawełny i osiedle dla robotników. Wspólnikiem jego był Mr. Robert Owen, który jednak włożył tylko trzy tysiące funtów na sześćdziesiąt niewiele miał do gadania. „Inni kupowali Lanark, jako przedmiot interesu i spekulacji, a nie teren eksperymentów społecznych. Owen miał na tę sprawę inne poglądy, ale przeważnie musiał je zatrzymać dla siebie” (G. D. H. Cole: The Life of Robert Owen).

Owen przyznaje jednakże, że od razu miał inne zamiary, aniżeli jego szanowni współnicy. „Moim zamiarem było nie tylko zarządzać przedziałnią bawełny, tak jak to zwykle w tym czasie robiono, ale wprowadzić zasady postępowania z ludźmi, które już zacząłem stosować z dobrymi rezultatami do robotników w fabryce Mr. Drinkwatera, zmienić ich warunki bytu, ponieważ jak to widziałem żyli w warunkach, które miały szkodliwy wpływ na całą ludność New Lanark” (The Life of Robert Owen Written by Himself).

Rzeczywiście, ówczesne stosunki w przemyśle pozostawiały wiele do życzenia. Ludzie, którzy w poszukiwaniu pracy przychodzili tutaj z Highlandu nie mieli domów, żyli w straszliwej nędzy i smutku, systematycznie upijali się bardzo złą wódką, prowadzili dalej zaciękle swoje stare spory religijne, które po nadużyciu alkoholu doprowadzały do krwawych bójek i wszyscy zgodnie nienawidzili przedziałnię. Przedziałnię zresztą chętniej zatrudniały kobiety i dzieci, zwłaszcza tak zwanych parish apprentices, młodzieńców w wieku od lat pięciu do dziesięciu (oficjalnie nazywano się to od lat siedmiu do dwunastu), których parafie na zasadzie prawa ubożczy oddawały do fabryk. Młodzieńcy pracowali zwykle trzynaście godzin na dobę; no jakimiś czasami karłowaci, idioci, albo uciekali do Glasgowa na poszukiwanie przygód, które zwykle kończyły się bardzo prozaicznie w więzieniu.

Owen przeglądał się temu wszystkiemu, a potem niezbrojony jeszcze w naukową teorię socjalizmu tak ocenił rzeczywistość: „Cały system produkcji był bardzo zły. Wszystko urządzili i wszystkim kierowali lu-

W SPRAWIE KIELECKIEJ

Ostatnie wydarzenia kieleckie ukazały w całej ohydliwej otchłani zbrodni i ciemnoty, żyjących dotąd w naszym kraju, mimo rozgromienia faszystów niemieckiego. Średniowieczna zbrodnia popełniona na niewinnych ludziach, obywatelach polskich, rzuca krwawy cień na naszą Ojczyznę. Pisarze polscy, wstrząśnięci do głębi tą zbrodnią, hańbiącą wielowiekowe humanitarne tradycje naszego narodu, wzywają społeczeństwo do walki z obliczoną na najniższe instynkty agitacją, której celem jest splamienie imienia Polski w oczach cywilizowanego świata. Pisarze polscy wierzą, że społeczeństwo wystąpi zdecydowanie przeciw tym, którzy niegodni są nazwy człowieka i Polaka. Po enuncjacji czynników rządowych, stronnictw i związków — już ogłoszonych — zabierze niewątpliwie głos i duchowniństwo i nauczycielstwo polskie. Dzisiejsi pisarze nowej Polski w poczuciu współodpowiedzialności za tradycyjny rząd dusz w swoim narodzie pragną wspólnie wychowawcami narodowej zbiorowości odwołać się do ludzkich sumień w walce z nieobliczalnymi w straszliwych skutkach przejawami zatyranego poczucia moralnego.

Zarząd Główny Związku Zawodowego Literatów Polskich

Warszawa, dn. 7 lipca 1946 r.

PRACOWNICY KULTURY O POGROMIE KIELECKIM

Redakcja „Kuźnicy” otrzymała w związku z zamieszczonym w Nr 28 oświadczeniem pracowników kultury w sprawie pogromu kieleckiego następujący list:

Wzburzony do żywego ohydnymi wydarzeniami kieleckimi proszę o położenie i mego podpisu pod protestem moich kół koleżanek.

Stanisław R. Dobrowolski

Warszawa, 10.7. 1946 roku.

Następujący pracownicy kultury zgłosili solidarny akces do oświadczenia w sprawie pogromu kieleckiego: Helena Bobińska, literatka, Antoni Bohdziewicz, reżyser filmowy, Wiesław L. Brudziński, literat, Belesław Dudziński, literat, Jerzy Jakubowski, prof. U. Ł., Julia Hartwig, literatka, Zygmunt Kałużyński, literat, Roman Kamiński, literat, Zofia Petersowa, literatka, Jan Kott, literat, Witold Kula, historyk Jan Szrelecki, publicysta, Edward Szuster, literat, Władysław Rymkiewicz, literat, Włodzimierz Stobodnik, literat, Henryk Serejski, prof. U. Ł., Henryk Tomaszewski, artysta-plastyk.

Następujący pracownicy kultury podpisali oświadczenie w sprawie pogromu kieleckiego, zamieszczone w nr 130 „Dziennika Polskiego” z dn. 14 bm.:

Jerzy Andrzejewski, Stanisław Witold Baliński, Tadeusz Breza, Jerzy Broszkiewicz, Karol Bunsch, Tibor Csorba, Henryk Dobrowolski, Jurek Filipowicz, Stefan Flukowski, Franciszek Gil, Krystyna Grzybowska, Konstanty Grzybowski, Tadeusz Holuj, Maria Jarochowska, Wacław Kubacki, Karol Kuryluk, Stefania Łobaczowska, Wilhelm Mach, Władysław Machejek, Adam Marczyński, Zdzisław Nardelli, Stefan Otwinowski, Kazimierz Piwarski, Adam Polewka, Marian Prokusiński, Andrzej Pronaszko, Julian Przybós, Andrzej Rybicki, Józef Sradzki, Stanisław Skowron, Eugenia Stolyhwo, Kazimierz Stolyhwo, Jerzy Szaniawski, Maria Szczepańska, Jan Alfred Szczepański, Helena Włodowska, Jan Wiktor, Władysław Woźnik, Julian Wołoszynowski, Izabela Wyka.

W tym samym numerze „Dziennika Polskiego” znajdujemy oświadczenia indywidualne następujących pracowników kultury: Jana Dąbrowskiego, prof. U. J., Walerego Goetla, rektora Akademii Górniczej, Króla Adwentowicza, ks. Henryka Weryńskiego, Ludwika Solskiego oraz nadesłane telefonicznie z Waszyngtonu słowa protestu Sawiego Pruszyńskiego.

Następujące organizacje uchwały dotychczas rezolucje potępiające: Związek Zawodowy Profesorów i Pracowników Uniwersytetu im. Marii Skłodowskiej-Curie, Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Archiwum Państwowe, Lubelskie Związki Zawodowy Dziennikarzy R. P., Związek Zawodowy Literatów Polskich.

dzie o bardzo przeciętnych umysłach, przyzwyczajeni do bardzo prymitywnych warunków. Zdecydowałem więc, że trzeba przede wszystkim skończyć z zatrudnieniem dzieci, które Mr. Dale już zakontraktował w parafii, że domy i ulice wsi trzeba naprawić i ulepszyć oraz wybudować nowe i lepsze mieszkania dla ludzi, których się tu sprowadzi na miejsce zatrudnionych dotychczas dzieci. Wnętrza przedziałni trzeba przebudować, a stare maszyny zastąpić nowymi. Wszystkie te zmiany trzeba przeprowadzić w miarę powiększania się zysków przedsiębiorstwa.”

Znacznie później Owen dodaje niepozbawione sensu, choć dopiero potem usankcjonowane rozważanie: „Pierwszym moim zadaniem było uczynienie niezbędnych kroków, aby zmienić bardzo złe warunki życia ludności na lepsze... ponieważ jest niezbytym prawem natury, że jakie są okoliczności i warunki, w których człowiek przeżywa swe życie, takim człowiek stać się musi. Ten eksperyment w New Lanark był pierwszą praktyczną próbą zmiany podstawowych zasad, na których dotychczas opierało się społeczeństwo od swych początków. Nie można sobie wyobrazić eksperymentu, który by w sposób bardziej oczywisty wykazał, że charakter kształtuje się dla człowieka, a nie przez człowieka, że społeczeństwo posiada teraz wszystkie środki i siłę, aby ulepszyć charakter każdego przez reorganizację społeczną.

W chwili, kiedy autorytety świata przekonują się o nieobliczalnych korzyściach,

które powstają na stał dla wszystkich przez oparcie organizacji społecznej na właściwych zasadach — re będzie trudności w stwarzaniu dobrego i wartościowego charakteru dla wszystkich w zorganizowaniu społeczeństwa, w którym będą tylko dobre warunki”. (The Life of Robert Owen Written by Himself, London 1857).

Dziś w naszym przydkiem sloganowym języku powiedzieliśmy po prostu „być kształtuję świadomość”, ale w każdym razie musimy przyznać, że wszystko to nie jest ani takie utopijne, ani co więcej pozbawione aktualnego sensu.

Po dorzuceniu jeszcze kilku retorycznych pytań w zdaniu: „Cóż to są złe, a co dobre warunki? Jak trzeba pokonać złe przy pomocy dobrych, w pokoju, z korzyścią dla wszystkich, w powszechnej zgodzie?” — Owen zabrał się do roboty. Rzeczywiście przedziałnię, ulepszył maszyny i rozpoczął edukację robotników. Wybudował psze domy, otworzył szkołę, założył sklepy, w których lepsze towary sprzedawał o cenie kosztu, propagował higienę i pewne zasadnicze normy etyczne. W fabryce zażył „Księgę Charakterów” i wprowadził specjalny system oceny robotników. Był o zawieszony przy każdym nazwisku w tablicy czworobok o ścianach niebieskie żółte, białej i czarnej. Każdy kolor oznaczał stopień oceny, oceny robotnika, zmieniał je kierownik przedziałni, ale robotnikom służyło prawo odwołania się do Owena. A Owen był łagodny, wyrozumiały i sprawdliwy.

Robotnicy nie wydawali się tym wszystkim specjalnie zachwyceni. Nic dziwnego, ludzie bowiem wyraźnie nie lubią, żeby ich uszczęśliwiano na siłę, zwłaszcza jeśli szczęśliwość pojeta jest jako częsta kąpiel i abstynencja.

Ale Owen wcale nie był takim utopistą za jakiego uważał go Engels, nie zakazał bowiem całkowitej sprzedaży wódki, tylko w sklepach firmy sprzedawał — znacznie lepszą.

W oczach otoczenia Owen był wtedy tylko udanym businessmanem, który wykazywał przy tym bardzo ludzkie cechy, przekształcił bowiem stopniowo New Lanark w nowoczesniejsze, a z konieczności pamiętania o swoich współnikach, najbardziej rentowne przedsiębiorstwo.

Dopiero po roku 1813 Owen stał się osobistością znaną publicznie, a New Lanark miejscem tłumnie odwiedzanym, w dodatku miejscem, o które toczyły się zajadle spory. Przedtem jeszcze energiczny przedsiębiorca zdołał pozyskać sobie robotników. Było to w roku 1806, kiedy Ameryka wskutek nieporozumień politycznych z Anglią nałożyła embargo na bawełnę. Ceny surowca na rynku angielskim skoczyły tak gwałtownie w górę, że produkcja przestała się opłacać, zwłaszcza, że liczone się z ponowną obniżką cen materiałów po zniesieniu embargo.

Owen zamknął przedziałnię, ale przez całe cztery miesiące wypłacał robotnikom pełne płace jedynie za dogłębne i czyszczenie maszyn. Wypłacił tak około siedmiu tysięcy funtów, ale zyskał popularność. Dopiero jednakże później spółka, do której należał między innymi Jeremy Bentham, pozwoliła Owenowi na przeprowadzenie zasady, że „wszystkie zyski przedsiębiorstwa przekraczające 5% od kapitału inwestycyjnego rocznie przeznaczają się na religijne i moralne podniesienie robotników oraz kształcenie całej gminy”.

Mimo tego edukacyjnego „hobby” Owen podniósł zyski przedsiębiorstwa tak, że lepiej niż wszystkie inne przetrwało kryzys 1816 roku, a równocześnie skrócił czas pracy do jedenastu i pół godziny, lub dwunastu, z przerwami na posiłki, wprowadził stałą opiekę lekarską, założył kasę oszczędności, a okoliczny las uczynił parkiem publicznym. Chociaż robotnicy pracowali na akord, to jednak skrócono czas pracy nie zmniejszając ich zarobków, ponieważ zwiększył ich wydajność.

Głównym jednak zainteresowaniem Owena była oświata, zwłaszcza dla dzieci. W 1816 roku przedłożył mieszkańcom New Lanark „Address to the Inhabitants of New Lanark at the Opening of the Institution for the Formation of Character”. Czarno na białym było tam wypisane, że nie można zatrudniać dzieci poniżej lat dziesięciu, ponieważ do tego wieku przejdą misternie przez Owena zaplanowaną edukację, która w lecie miała odbywać się na wolnym powietrzu i obejmować także gry i zabawy, grę na instrumentach, śpiewy i wycieczki. Dla dzieci powyżej lat dziesięciu Owen przewidział naukę wieczorną, a dla dorosłych ułatwienie systematycznego dokształcania.

Ponieważ Owen był Anglikiem dodał na końcu, że żadnym ograniczeniom w ramach wykształcenia nie podlegają opinie prywatne i przekonania religijne.

W Londynie przewodnicząc pewnemu Kongresowi w roku 1833 wzywał robotników do stworzenia „Grand National Moral Union of the Productive and Useful Classes”, czyli krótko do połączenia się związków zawodowych, przy czym słowo „moral” nie pokrywało się zupełnie dokładnie z ówczesnymi pojęciami moralności. Potem z tego długiego tytułu wyrosły zwyczajne Trade Unions do których napływały tłumy robotników. Owen utrzymał się jako przywódca związków tylko do roku 1834 potem jego idee kooperacji zastąpił Charytysty swym atrakcyjnym hasłem walki klas.

Został po nim dokument: „The Report to the County of Lanark”, gdzie biednemu urzędnikowi, który chciał się po prostu zapoznać z jakimiś technicznymi sprawami wypisał takie rzeczy: „Praca, jak ludzkich właściwie skierowana jest źródłem całego bogactwa i dobrobytu narodu. Najważniejszym problemem jest nie wyprodukowanie, ale rozdział tego co łatwo wyprodukowane być może.

Naturalna podstawa wartości jest praca ludzka. Można skalkulować i obliczyć przeciętną ilość pracy ludzkiej, a ponieważ stanowi ona istotę każdego bogactwa jej udział w wartości każdego przedmiotu także można obliczyć i ustalić, tak, że wiadoma jest jej wartość w wymianie na inne dobra. Popyt na pracę ludzką nie będzie już dłużej zależał od kaprysu, ani też życie ludzkie nie będzie jak dotychczas zmieniającym się wartości przedmiotem handlu. Klasa robotnicza nie będzie klasą niewolników zależną od sztucznego systemu płac bardziej okrutnego w skutkach, aniżeli jakikolwiek system niewolniczy w okresie barbarzyństwa.”

Zdaje się jednak, że nawet w reformatorskich czasach Owena cukier nie przestał być produktem trudnym do nabycia, przedmiotem luksusu i zbytku.

Reverend Sir Micah Balwhidder, proboszcz parafii w Cayenville w pamiętnikach swych (Annals of the Parish), pod datą 1787 zanotował jak następuje: „Nie mogę pominąć w swych notatkach uwagi o zbytku jaki wkradł się pomiędzy członków gminy w owym czasie. Otwarto nowe drogi po których odbywał się ruch handlowy wozów i wózków, a nasi młodzi ludzie, którzy jako żeglarze zaciągnęli się na rzecę Clyde wyjeżdżali na Jamajkę i do Indii Wschodnich, przywożąc stamtąd stopy cukru i kawy w ziarnkach”. Rzecz oczywista, z luksusu tego nie korzystał robotnicy w prze-

dzalniach. Wielebny Micah Balwhidder wspomina w innym miejscu, że sam długo się bronił przeciwko tym świeckim pokusom zbytku i dopiero po wielu latach od zanotowanej daty pozwolił na ugotowanie w swej skromnej parafii — herbaty.

MIASTO WŚRÓD GÓR

Z tego co piszą kronikarze wnioskować należy że w stolicy też nie było lepiej. Była ona ciasna i brudna, zgnieciona w murach obronnych, jedyne miasto domów czynszowych ze względu na brak przestrzeni mieszkalnej.

Dzisiaj już oczywiście nie już nie przypomina tej dawnej historii. Edynburg położony na stokach i w wąwozach jest przedziwnie pięknym miastem, rezydencją dziś już nie

królów, ale, jak twierdzą, rentierów i emerytów. Auld Alliance z Francją przeciwko wspólnie wrogiej Anglii pozostawiła swoje ślady.

Są to wieże najbardziej francuskiego baroku białe i rzeźbione, które wspinają się na niebieskie krawędzie górskie, schodzą w dół i jak moaty zwodzone spinają ulice i uliczki.

Nad miastem na bazaltowej czarnej skale stoi zamek, siedziba kolejno królów i buntowników, panujących i najeźdźców. Z pradawnej świetności XI wieku pozostał jeszcze łuk romański w kaplicy świątobliwej królowej Margaret. Z bocznego i mrocznego skrzydła po wydeptanych schodkach wchodzi się do dużej komnaty, w której Marii królowej Szkotów urodził się syn, Ja-

kub, pierwszy król zjednoczonych królestw Anglii, Szkocji i Irlandii. Miejsce wieży Dawida I-go porośło bluszczem, ale zębate mury przebudowywane po pożarach i zniszczeniach wojennych trzymają się mocno czarnego bazaltu, a piętnastowieczne działa „Baterii Półksiężycy” pilnie wypatrują wrogów przez małe ich otwory. Ale żaden wróg się nie zbliża, ani od strony dzikiego Highlandu, ani od gór Cheviots. Nad zielonymi ulicami zapada spokojny wieczór. Tylko na tle czerwonego zachodu zamek czernieje groźną sylwetką, jak doskonała dekoracja do szekspirowskiego dramatu, a po krzyżankach i dziedzińcach krąży zapewne szalona Lady Macbeth ścierając z rąk krwawe plamy wielu królewskich zbrodni.

Marla Fiderer

JAN KOTT

NIEOCZEKIWANY TRADYCJONALIZM

Pamiętam jak Julian Przyboś na parę lat przed wojną mówił mi, że pragnie dożyć chwili, kiedy nowatorstwo jego nazwane zostanie tradycjonalizmem, kiedy nowe kierunki artystyczne nazwą jego poglądy na sztukę intelektualną starzyzną. Czytając ostatni artykuł Przybośa „Próba Oka” („Odrodzenie” Nr 27), pomyślałem sobie, że nie należy wypowiadać zbyt pochopnie życzeń, bo za szybko mogą się sprawdzić.

Przyboś, polemizując z artykułem Tadeusza Dobrowolskiego „O hermetyzmie i społecznej izolacji obecnego malarstwa” staje w obronie sztuki postimpresjonistycznej, Bonnard, Matisse'a, a u nas kapistów. Nie chce

— po prostu nie czuje poezji! Iluż pisze swoje nie kończące się ple, ple, upozorowane uczoną terminologią — a ani razu nie doznało poezji! Nieraz trudno zdemaskować takie uczone kalektwo, wspierające się jak na szczudłach, na przejętej teorii lub kupie szczegółów z historii sztuki: nieraz dopiero traf, jakieś szczególne poślizgnięcie się odsłania jałowość i, jak mawiał Gombrowicz „absolutną niemożność”...

Nie chcę bronić polskich historyków literatury, ale wydaje mi się, że można i trzeba im zarzucić wszystko, oprócz owego braku mistycznego doznania poezji. Klasycznym przykładem polskiej humanistyki, zgodzi się chyba ze mną Przyboś, jest prof. Kleiner, któremu zarzucić można tradycjo-

zienia nowych tropów poetyckich, do stworzenia nowego kanonu liryki. Próbowałem pokazać różnicę pomiędzy językiem ideologii artystycznych, a językiem technik, trudności w tłumaczeniu, w przechodzeniu z jednego języka na drugi.

Kiedy trzy lata temu, w grupie przyjaciół po raz pierwszy zaczęliśmy stawiać postulat realizmu jako nowy program literacki umieliśmy niewiele więcej wskazać ponad to, co nam w literaturze dwudziestolecia nie odpowiada, umieliśmy jedynie dokonać wyboru wartości, jakich chcemy, aby broniła sztuka. Dopiero w miarę analizy przemian literackich w Polsce i na Zachodzie postulat realizmu zaczął się konkretyzować i przynajmniej jeśli chodzi o prozę, umiemy już dzisiaj wskazać na czym polegają nie tylko ideologiczne, ale i formalne założenia nowego prądu. Jeszcze pół roku temu Kazimierz Wyka broniąc realizmu w prozie, udowodnił jednocześnie jego pełną nieprzydatność wobec liryki. Wątpię, aby dziś podtrzymywał swoje zdanie. Wydaje mi się, że możemy już dostarczyć i zarysować kształty nadchodzącej poezji, określić jej „miejsce na ziemi”, nie tak jeszcze ściśle jak w prozie, ale wystarczająco dokładnie, aby przewidywać odrodzenie poezji dyskursywnej, rygorów normatywnej poetyki, uproszczenie języka poetyckiego, inwazję środków wyrazu, wyeliminowanych dotychczas z obszaru liryki jako prozaizmy lub anaty. I dlatego tylko późniejszym echem symbolicznych mitów są te oto słowa Przybośa: „Obrazki rodzajowe, gawędy, sceny anegdotyczno-histeryczne, rozprawki filozoficzne, które uprawiali wierszem jeszcze parnasiści (u nas Konopnicka i Asnyk) — wszystko to wydaje nam się dzisiaj sprzeczne z istotą poezji, odczuwamy je jako prozaiczny balast, zabijający poetyckość. Mowę wiążaną, poezję utożsamiamy dzisiaj z liryką”. Zdanie to, napisane 20 lat temu, byłoby w Polsce nowatorskie. Dzisiaj jest tylko upartą obroną starego symbolicznego mitu „czystości” poetyckiej, który, przelożony na język techniki, oznaczał dążenia do jaknajdalejszego ograniczenia komunikatywności języka poetyckiego. Rozwój liryki powojennej mówi o wręcz przeciwnych tendencjach.

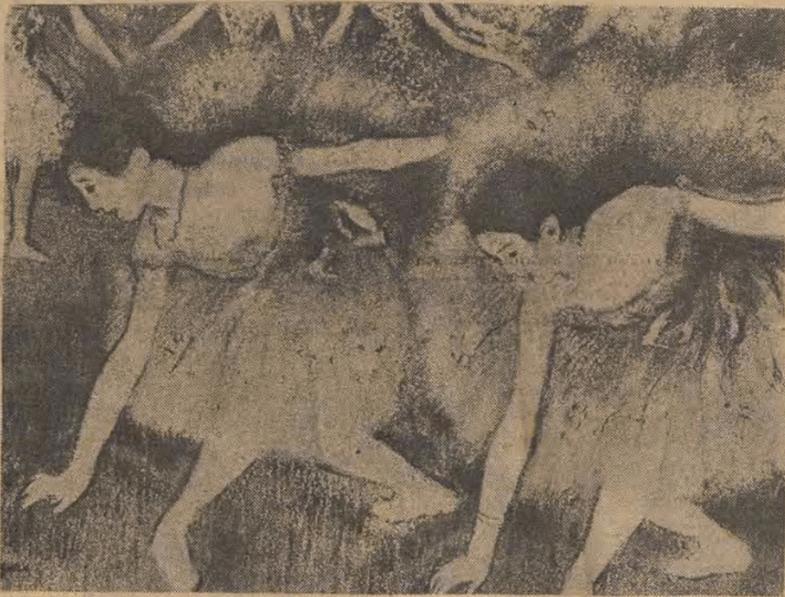
Przemiany we wszystkich dziedzinach kultury nie muszą występować jednocześnie. Szybciej nowa proza oczyszcza się z psychologizmu i naturalizmu od poezji, wyzwalającej się z ogromnym trudem z techniki symbolicznej, od malarstwa, które ciągle jeszcze nie znajduje drogi wyjścia z



E. DEGAS Tancerki za kulisami

wspaniałych tradycji postimpresjonizmu. I dlatego nie należy się ani dziwić, ani oburzać, że postulat realizmu w malarstwie długo jeszcze zapewne zachowają charakter ogólnikowy i wieloznaczny. Można i trzeba domagać się realizmu w malarstwie, a jednocześnie tylko bardzo ogólnikowo wskazywać, czym ma się różnić „jabłko” impresjonistyczne od „jabłka” realistycznego. Wiemy, jak malował jabłko Chardin i jak malował Cézanne. Ale dopiero analiza nowych, przyszłych obrazów pozwolić może krytykowi na przetłumaczenie „zwrotu do rzeczowości obiektywnej, do przedmiotów i człowieka” na język techniki: rysunku, harmonii barwnych, kompozycji.

I dlatego niesłusznie oburza się Przyboś, że Dobrowolski uwielbia obrazy Braque'a, Matisse'a i Bonnard'a, a jednocześnie nie chce ich sztuki. Przysmagaję szczerze, że podziwiam obrazy Matisse'a i wiersze Przybośa, pragnę i ja również innej poezji i innego malarstwa, które dostarczyłby mi głębszych i bardziej ludzkich przeżyć artystycznych i intelektualnych, które by mi więcej i czulej i mądrzej powiedziało o człowieku i świecie, w którym żyję.



E. DEGAS

Tancerki

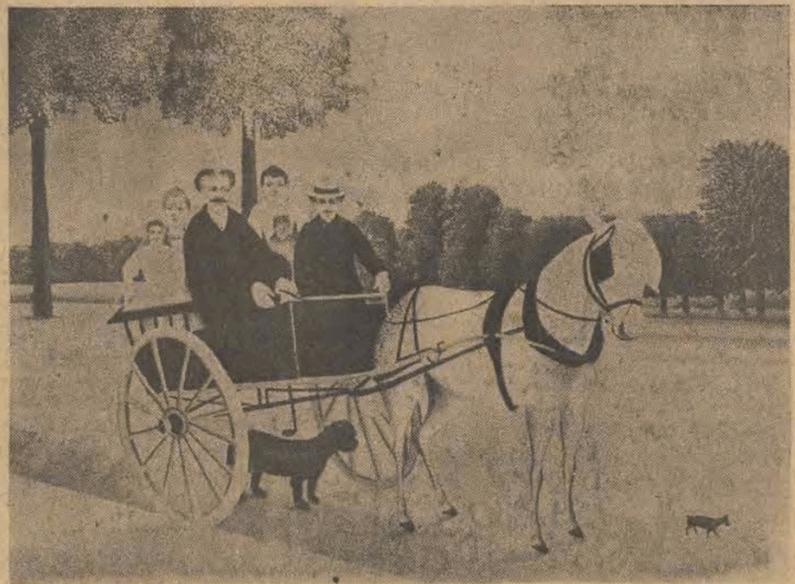
dotykać w tej chwili istoty sporu, interesuje mnie gatunek argumentów, jakość metody, pozycja ideologiczna, z której Przyboś rozpoczyna obrzast.

Czytam: „Czy autor artykułu jest wrażliwy na dzisiejsze malarstwo? Czy umie patrzeć na obraz, czy widzi? Taka próba oka jest rozstrzygająca i na niej tylko, a nie na niepotrzebnym balastie treści, czy wiadomościach z historii sztuki można budować zaufanie do tego, co głosi” (podkr. moje). Wydaje mi się, że cytowane zdanie Przybośa jest zarazem charakterystyczne i niebezpieczne. Charakterystyczne dla rozpowszechnionego u nas niezmiernie typu krytyki literackiej czy plastycznej (zwalczanego w swoim czasie niezmiernie ostro przez awangardę krakowską), odwołującej się wyłącznie do próby oka i próby smaku, do subiektywnej wrażliwości na poezję czy malarstwo, do dowolności przeżycia estetycznego, do nie dających się skontrolować reakcji indywidualnych. Niebezpieczne, ponieważ głosi pogardę dla wartości teorii i historii sztuki dla kryteriów sprawdzalnych, obiektywnych i naukowych, ponieważ dyskusję zasadniczą sprowadza do sporu — „ja czuję, a ty nie czujesz”. Niemal jak Mickiewicz głosi teraz Przyboś: „Czucie i wiara silniej mówi do mnie niż mędrcza szkło i oko”.

Trudno o bardziej jaskrawej i programowej antyintelektualizm jak następujące wyznanie Przybośa: „Można posłuchać się precyzyjnym słownictwem krytycznym — (na chyblił traf, na nby) — a nie posiadać wrażliwości estetycznej, nie doznawać dzieła sztuki, patrzeć na obraz jak na stół czy półmisek z sałatą. Iluż szanownych profesorów, autorów pięknych rozpraw i historii literatury

nalizm metod, lekceważenie teorii wyjaśniających, psychologizm, uznawanie dzieł literackich za zjawiska wyjątkowe, niepowtarzalne, za wyraz absolutny indywidualności twórczej, i długi jeszcze rejestr grzechów idiograficznej humanistyki, ale nigdy brak „odczuwania” poezji, „ośnienia” dziełem sztuki, „doznania” artystycznego. Atak Przybośa jest najzupełniej fałszywie skierowany, zbytkiem wiedzy nasza krytyka i humanistyka nigdy nie grzeszyła. Brak nam teoretyków literatury, brak odpowiedzialnych naukowców, umiających ukazać problematykę filozoficzną zjawisk artystycznych, przejść od opisu tekstu do analizy stylu, do konstrukcji okresu historycznego, przejść od opisu do teorii, do konstrukcji wyjaśniającej. Smakoszków, wrażliwców, mistyków, Szawliów, którzy doznają ośnienia poezją, jak laska, liczyliśmy i liczymy na kopy! Nie spodziewałem się, że Przyboś ruszy w sukurs obrońcom impresjonistycznej krytyki i tradycyjnego „wczuwania się”.

A teraz sprawa druga. Przyboś zarzuca Dobrowolskiemu, że jego propozycje nowego realizmu w malarstwie są ogólnikowe i puste. Znowu zastrzegam się, że nie chcę bronić trafności i słuszności sformułowań Dobrowolskiego. Podjąć chcę zagadnienie szersze, niezmiernie ważne dla charakteru obecnej dyskusji o nowy kierunek w literaturze i malarstwie. Idzie mi po prostu o to, w jakiej mierze krytyk i teoretyk wyprzedzać może twórcę. W paru ostatnio ogłoszonych artykułach próbowałem już określić związki i różnice, zachodzące pomiędzy ideologią prądów artystycznych a strukturą ich środków wyrazu. Próbowałem pokazać, że odrzucenie ideologii, czy powiedzmy mitologii symbolizmu nie prowadzi jeszcze do odnalezienia



HENRI ROUSSEAU

Kariolka pana Jugniel

Na tym nie koniec sporu. Pragnę po raz trzeci dowieść tradycjonalizmu poglądów estetycznych Przybosa. Jak kilkadziesiąt lat temu Witkiewicz, wykiwa Przybós dziś w roku 1946 wszystkich tych, którzy w obrazie próbują dostrzec coś więcej ponad rozwiązanie zagadnienia formy i koloru, którzy interesują się treścią pozamalarską, tematem literackim, anegdota. Z niedowierzaniem i pogardą odnosi się Przybós do prób odrodzenia malarstwa tematycznego, nawet portret uważa za rodzaj przestarzały, a obrazy historyczne określa jako „kobyły” i widzi w nich jedynie okazy „pomierstwa”. Już samo słowo „pomierstwo”, powracające niespodziewanie z epoki Młodej Polski, czarnych peleryn i podziału całej ludzkości na artystów i filistrów mogłoby wzbudzić pewien niepokój o współczesność myśli Przybosa. Dajmy spokój żątom.

Sprawa jest warta poważnej dyskusji i dlatego, nie mając ani dostatecznej wiedzy, ani wystarczającego doświadczenia, nie będę bronił wartości osiągnięć malarstwa tematycznego w ostatnim pięćdziesięcioleciu. Wydaje mi się jednak, że przeciwstawianie czystego malarstwa i fotoplastikonu, że odbieranie wszelkiego znaczenia podobieństwu rzeczy przedstawionej do modelu, że wreszcie ośmieszanie dążeń do „wiernego odbicia świata obiektywnego” jest tylko pogłosem dawnej demagogii antyrealistycznej z drugiego dziesięciolecia naszego wieku, kiedy Apollinaire sztychł z malarzy, że bardziej są tchórzliwi w stosunku do natury od ogrodników.

Idzie mi jeszcze o rzecz inną, o prymitywny i niesłychanie wąski sensualizm, sensualizm dla ubogich duchem, który odczuć dzieła malarskiego ogranicza do wrażliwości oka, a rozumienie do spraw koloru i formy. Sądzę, że niemożliwe jest ani głębokie przeżycie artystyczne, ani poznanie historyczne malarstwa jako zjawiska kultury, bez zdania sobie sprawy ze znaczenia przedstawionych realiów, to jest tego wszystkiego, co Przybós nazywa pogardliwie anegdota i literatura. Oczywiście, że rozumienie realiów nie polega na odnajdywaniu ich pierwowzorów w naturze, ale na interpretacji, która pozwala uchwycić i przelożyć sens wyboru i sens przekształceń na język świadomości kulturalnej epoki.

Czyż można sobie bowiem wyobrazić miłośnika malarstwa włoskiego, dla którego nie byłoby źródłem głębokich przeżyć zobaczenie na obrazach quattrocenta małej figurki fundatora, który klęczy u stóp ogromnych świętych i stopniowo w miarę jak zbliżamy się do quincenta rośnie i ogromnieje, aż wreszcie dumny i zuchwały dorówna swemu patronowi wielkością; potem w okresie baroku pan feudalny rozpięta się już na całej powierzchni obrazu, kiedy tymczasem świeci patronowie poszli do jednego z kątów lub biedni, małeńcy i niepozorni tulają się na drugim i trzecim planie obrazu.

To dawna epoka. Sięgnę teraz do bliższych przykładów, ponieważ Przybós twierdzi, że na charakter i istotę malarstwa decydująco wpłynęły wynalazki fotografii i filmu. Czyż można przeżyć głęboko malarstwo Gauguina i celnika Rousseau, nie dostrzegając w ich sztuce odbłasku mitu o szczęśliwych wyspach, wolnych od skażenia cywilizacją, wyspach, które Gauguin odna-

lazł na Tahiti, a Rousseau w naiwnym spojrzeniu dziecka.

Przykładów takich można by mnożyć wiele. Nie jest to moim celem. Idzie mi po prostu o przeciwstawienie się tradycjonalnemu, tradycjonalnemu oczywiście dziś, a nie pięćdziesiąt lat temu, typowi przeżycia artystycznego, ograniczonego do smakowania wrażeń, do rozkoszowania się formą, antyintelektualnego i antyhistorycznego. Idzie mi po prostu o nowatorstwo, właśnie nowatorski wzór przeżywania i rozumienia malarstwa, pozwalający dostrzec w obrazie dokument stylu, dokument kultury, pozwalający odczytać z niego kształty duchowego i materialnego życia epoki. Ów pozorny i fałszywy „intelektualizm”, który ogranicza się do analizy wrażeń, roztrząsa sprawy rzemiosła, rezygnuje z przetłumaczenia języka form i barw na język ideologii kulturalnych i społecznych, rezygnuje mówiąc krótko z poznania humanistycznego, jest dla mnie okaleczeniem i zubożeniem malarstwa, które nie mniej ściśle od literatury pokazuje jak i czym żyli ludzie każdej epoki.

I dlatego wydaje mi się, że nadszedł już czas, aby dostrzec w impresjonizmie coś więcej ponad technikę eksperymentów optycznych, ponad malowanie światła i powietrza. Czytając niedawno Zolę i Maupassanta miałem ciągle przed oczami płótna Maneta, Pissarra i Degasa i marzyłem o wydaniu powieści klasyków naturalizmu, ilustrowanych obrazami impresjonistów. Prawdziwą bowiem wielkością impresjonizmu nie było odkrycie nowej techniki malarskiej i nowego widzenia świata, lecz ukazanie stylu życia francuskiego mieszczaństwa w ostatnim dwudziestoleciu XIX wieku. Oczywiście, że nie należy naśmiewać się po prostu ze „Śniadania na trawie” Maneta wyprawiać wniosku, że w owym czasie panowie w żakietach palili cygara w łasku Bulońskim obok nagich kobiet. Tym niemniej jednak temat nie był dla Maneta tylko pretekstem, aby czerpić zniechęcenie przeciwstawiać ciepłym różowym tonom ciała w słońcu, wybór tematu mówi nam o tym samym gatunku wrażliwości, o tym samym rozjątrzeniu i uczuleniu doznań, jaki odczytać możemy bez trudu z „Nany” Zoli. Impresjonizm nie jest technika, lecz historycznym stylem końca wieku.

I trudno o lepszy przykład jak dalece książki i obrazy były wyrazem tego samego stylu odchodzącego stulecia, jak opis balu w „Szkoła serca” Flauberta, który mógłby stać się wzorem przekładu na język literacki lub opisowej charakterystyki płócien Degasa:

„Przewijano się tak blisko Fryderyka, że dostrzegano na czołach kropelki potu. Ten ruch wirowy coraz to żywszy, regularniejszy i zawrotniejszy, prznikał go jakimś szczególniejszym upojeniem, wydobywając z pamięci inne obrazy, podczas gdy w jednakim olśnieniu migły wszystkie kobiety, każda swoiście podniecona zależnie od charakteru urody. Polkę pełną tkliwego oddania miał chęć przycisnąć do serca i mknąć wraz z nią saniami przez ośnieżone równiny. Pod krokami Szwajcarki, tańczącej z wyprostowaną figurą i spuszczonej oczyma, rozciągał się widnokrąg cichej natury na brzegu jeziora, w górskim szalecie. Dalej, Bachantka, pochylawszy w tył ciemną głowę, budziła w nim nagle pragnienie palących uścisków, w gajach laurowych w czas burzy, przy zmieszanych dźwiękach tamburynów. Przekupka nieco zdyszana wskutek zbyt szybkiego tempa, śmiała się głośno. Fryderyk miałby ochotę, pijąc wraz z nią szklanice, zmiąć gwałtownym ruchem jej chustę, jak to czyniono za dawnych, dobrych czasów. Robotnica zaś, której lekkie stopy zaledwie muskały posadzki, kryła rękawicę w przeźroczystości ciała i powadze twarzy całe wyrafinowanie nowoczesnej miłości, ścisłej jak nauka i ruchliwej jak ptaszka”.

Flaubert i Degas byli nie tylko wielkimi i niedoścignionymi mistrzami w oddaniu prawdy realiów obyczajowych: gestów, uśmiechów i kroju sukien, ukazywali również gatunek uczuć i wyobrażeń, typ wrażliwości mieszczańskiej, typ społecznego życia w swoim kraju i swojej epoce. I jeżeli podziwiam Matisse'a i Bonnard'a, a jednocześnie pragnę innej sztuki, to dlatego i tylko dlatego, że obrazy ich mówią tak mało o naszych uczuciach, namietnościach i myślach, o naszej wrażliwości i naszej walce o nowy sens życia, mówią tak rozpaczliwie mało w porównaniu z tym, co umiał powiedzieć o swoim pokoleniu Degas, Pissarro i Manet.

Nie chcę sztuki której największą wartością jest odbłask epoki, która zamiera i która zamrzeć powinna.

A tradycjonalisci widzą jeszcze ciągle w sztuce impresjonistów tylko receptę malowania śniegu na fioletowo. Nie wiedzą, biedni, że technikę można powtarzać, ale styl historyczny powstaje tylko z głębokiej miłości i głębokiej nienawiści twórcy do własnej epoki.

Jan Kott

LEON SCHILLER

W rocznicę Rewolucji

(Przemówienie)

Francja wiele kochała — swą ziemię zyczną i piękną, swój naród rozumny i heroiczny, cały świat udrecony niewolą i wszystkich synów Prometeusza. Miłością była Francja wcielona w postać Joanny-pastuski czy Bernadetty. Miłością technologiczną i odrodzenie francuskie w sztuce myślenia i w sztuce kształtowania myśli za pomocą słowa, pędzla, dłuta, narzędzi muzycznych i kunsztu teatralnego.

Tylko miłość, tylko dążenie do harmonizowania prawdy z pięknem, mogło podktykować literaturze francuskiej nieśmiertelne prawidła estetyki klasycznej.

Bo o barbarzyństwie anarchisty Celine'a nikt nie będzie pamiętał, a zawsze, póki świat światem, poić się będzie nie tylko poezją Ronsarda i du Belay'a, Andrzeja Chenier, Alfreda de Vigny, niektórymi odami Wiktora Hugo, ale i na pozór tak odlegającymi od reguł klasycznej elegancji utworami Rimbauda, Baudelaire'a, czy, jeśli o poetów ostatniej doby chodzi — Pawła Eluard, w gruncie rzeczy tak francuskimi, tak nieprzetłumaczalnymi francuskimi.

Miłością ziemi technologicznie francuskie malarstwo impresjonistyczne i epos naturalistyczny Zoli.

Na miłość człowieka prawdziwej, nie mistycznie zakłamanej, lecz posiadającej praktyczną wartość dla osobniczego i zbiorowego życia, oparli swą władzę encyklopedyści i swe programy wszyscy apostołowie i żołnierze rewolucji ludowych od Wielkiej począwszy, poprzez zrywy republikańskie i socjalistyczne do wspaniałej Komuny paryskiej włącznie.

Miłość, która — by użyć słów św. Pawła — nie pamięta na urazy, nie raduje się z niesprawiedliwości, a raduje się z prawdy, — wszystkim wierzy, wszystkiego dobrego się spodziewa i wszystko znosi. Miłość kierowała niewątpliwie krokami nie tylko żarliwych i euforycznych katolików, jak prześladowały przez urzędowy Kościół ksiądz Lammenais, jak oficer-literat, wnuk Renana, Psichari, czy też radykal-poeta Péguy, nie tylko naukowców, co naturaliter byli chrześcijanami jak Ampere lub Pasteur, ale i indyferentnych, czy wręcz bezbożników tej miary, co Jaurès albo Romain Rolland.

Zarzuć ktoś takim sposobowi widzenia rzeczy łatwy idealizm, ciągnięty za włosy, dla efektu aforystycznego. Przecież Francja to także pogromy hugenotów, to uciśk chłopstwa i mieszczaństwa, zbrodnie feudalizmu i imperializmu, wstępczość panosząca się burżuazji, karierowiczostwo masonerii i wszechwładza jezuitów, przenikające do wszystkich komórek życia społecznego, to klerykalizm protegujący szowinizm w najwulgarniejszej postaci, antysemityzm i fałszyzm. To dreyfussada i stawiskada, to Action française pod wodzą wybitnych intelektualistów i wybitnych żurnalistów, niczemników: Maurrasa i Leona Daudet. To zdrada skrajnej prawicy zdemaskowana i surowo potępiona przez szlachetnego Jacquesa Maritaina, bowiem gwoli zdobycia władzy prawica stawiała na kleskę państwa i upadek narodu.

To Petain i Laval i niezliczona rzesza kollaboracjonistów, wśród których znaleźli się wczorajsi nasi ulubieńcy, literaci, artyści, ludzie teatru. Pamiętamy jeszcze, jakim smutkiem napęłniał nas każdy numer „Gerbe” czy „Je suis partout”, donoszący o nowym zaprzęstwie, nowej denuncjacji, albo o nawróceniu się na nazizm wybitnych Francuzów.

Piękne są klasyczne i romantyczne tyrady dramatu francuskiego. Czyż mogą jednak zagłuszyć krzyk proletariatu na próżno o pomście wlotającego?

Śliczne, młodzieńcze są pastorałki i berżerełki osiemnastowieczne. Czyż możemy jednak zapomnieć, że je śpiewali przy kobzach ustrojonych wstążeczkami we wiosce Marii Antoniny w Wersalu markizy i markizi, przebrani za wieśniaków, podczas gdy prawdziwy lud marł z głodu?

Miło nam wspominać epokę II Cesarstwa, rozkoszować się strojami dat frywolnych w smaku malowideł Winterhaltera, stare walce Wadteufela i Offenbachowskie kankany słodkie w nas budzą rozrzewnienie — a przecież całe to chorobliwe piękno i ten zły smak, nie pozbawiony dla nas uroku, zrodziła zbrodnia bonapartyzmu, zdrada rewolucji demokratycznej dokonana przez jej trybuna: przecież to smętne prełudia do Sedanu, co gorsza, do haniebnego unicestwienia pierwszej Republiki komunistycznej, która mogła naród francuski uzdrowić, odrodzić i uczynić hegemonom w walce o jutro proletariatu międzynarodowego.

Wszystko to prawda. Lecz i prawda, że tylko bardzo płytki doktrynerzy czynią od-

powleczalnym Jezusa Chrystusa za grzechy papieży, świniestwka, klechów i dewotek. Tylko dla ludzi krótkowzrocznych i małodusznych — tym samym są pełne poświęcenia, miłością bliźniego natchnione, ścisłe święte żywoty cenobitów, wlec kartuzów, trapiistów, czy karmelitów bosych, co pasibrzuchonych innych młochów.

Cóż winni filozofowie Wielkiej Rewolucji, że ich państwo duchową roztrwonila i zmarnowała demokracja burżuazyjna?

Cóż winni bojownicy o Wolność Ludów, że się wypauki dziejowe potoczyły po innej linii, nie po tej, którą wykreślił ich program, coż winni, że z koniecznej w tym okresie klęski wynikały logicznie czasowe postępy reakcji?

Komu przyjdzie na myśl winić twórców socjalizmu naukowego, że rewizjonisci tej doktryny, wstawiając proletariatu, iż są jej kontynuatorami, bałamucili go i czynili posłusznym narzędziem kapitału?

Nikt też chyba nie zrzuci odpowiedzialności na socjalizm za to, że niektóre jego hasła w celu zamyślenia oczu, przechwytywałe faszyzm, występujący pod przeróżnymi maskami radykalizmu? A my, Polacy, czyż wymażemy z pamięci przysięgę Kościuszkę na rynku krakowskim, albo bohaterką śmierć Edwarda Dembowskiego pod Krakowem, dlatego, że to miasto starożytne, pełne śnać dzisiaj zataczonych emerytów byłego reżymu, strachalłów i bęcwałskich zblaznło się nieśmiertelnie podczas głosowania ludowego?

Polska to przecie nie Kielce, a Kielce, to nie zgraja bandytów podszytych przez agentów krakowskiej i zagranicznej reakcji.

Nie tworzą dzieł politycznych Polski, nie tworzą jej kultury ani kondotier Anders, ani klika zdrójców spod znaku Raczkiewicza, Arciszewskiego, Sosnkowskiego i Bora Komorowskiego, ani dezertery w rodzaju poety Wierzyńskiego czy Lechonia lub publicysty Nowakowskiego.

Tworzą dzieła polityczne Polski, tworzą jej kulturę materialną i duchową robotnicy, chłopci i pracownicy umysłowi na wieczne czasy zbratani ideałem demokracji ludowej.

Tak samo rzecz ma się z drogą sercom polskim Francją.

Wycia kontrrewolucyjnych hord wandzjskich, rojalistycznych kamlotów, rzekomych obrońców świętości Joanny D'Arc a w gruncie rzeczy bojówkarzy antysemickich i antysojalistycznych stronnictw, wreszcie nazistów francuskich nie zagłuszają wzniosłych słów Marsylianki i Międzynarodówki.

Póki słowa „Ojczyzna” i „Wolność” na świecie będą coś znaczyć — a nauczyły nas czasy ostatnie, że nie ma sprzeczności między tymi dwoma pojęciami w ideologii demokracji ludowej — póty ze wzruszeniem serdecznym i z płomienną wiarą śpiewać będziemy

Amour sacre de la Patrie.
Conduis, conduis nos pas vainqueurs!...
póty w pochodzie do wolności rytm właściwy i właściwe tempo nadawać nam będzie refren hymnu komundarów paryskich

C'est la lutte finale,
Grouppons nous et demain
L Internationale
Sera la genre humain!

Nie jestem historykiem, nie jestem socjologiem, co gorsza, nie jestem politykiem, nawet w potocznym rozumieniu tego słowa. Do zagadnień tu poruszonych, w sposób wiele prawdopodobnie pozostawiający do życzenia z punktu widzenia naukowego, mam stosunek normalnego demokrata i normalnego Polaka, tzn. człowieka, który moralność swą utwierdził na zasadach Postępu, a nie wstępczości, dla którego Wolność nie jest tylko sentymentalnym frazesem, lecz ściśle określona formą życia gospodarczego, społecznego i politycznego dla którego klimat Polski Ludowej jest jedynym, w jakim żyć i użytecznie pracować może.

Francję uważałem zawsze za drugą ojczyznę, przeżyłem w niej lata młodzieńcze, zawsze czułem się z jej ruchem intelektualnym związanej, tyleż jej, jeśli chodzi o wychowanie artystyczne, co Polsce zawdzięczałem.

Jakże mógłbym nie pamiętać o tym, o czym wszyscy wiedzą; o wszelkiego kalibru kombinacjach, o wstrętnym chładczo, petit-ren-tierze francuskim czy nim jest biskop, episcier, concierge, oficjalista prywatny lub makler giełdowy.

Jakżeby mógł nie pamiętać o prostytutce i bezwstydnym korupcji i o tym, że demokraci francuscy z olbrzymim spokojem patrzyli na groźny lumpenproletariat paryski,

ANNA POGONOWSKA

Wspomnienie

Profiem zwarta, łukami ciała zamknięta,
Zanurzona w krwi własnej —
Kontur wykuwam jasny
Chwil, których nie pamiętam.

Pulsuje cień różną barwą,
Ostrym się kształtem zacina
W myśl — Rzeźbę twardą
Ja — niewidząca — wspominam.

Walka

Niech opadnie ze mnie wiatr,
Nachylenie nieba, dotyk bruku —
Niech stanę twarzą w twarz
Przeciw mocy, która mnie szuka.

Strząsam uśmiech, ostatni ślad
Młodej wiosny wrostej w obłoki —
I przystaję. Jak clemność tram —
Jak powietrze przeoiw fall wysokiej.

Ona biegnie. Już ścina blask —
Już unosi traw gorycz, woń bżów —
I roztrąca mój oddech, mój czas —
I wlamuje swój rytm w mój puls.

Nie fala, już, nie fala —
Kula zwarta jak skala —
Ale ja nie pozwalam
Na przemoc swego ciała.
Niech serce jak chce bije —
Niech myśl zeszywnia kres —
Zaniotę siebie jak gline
W inny — gest.

który można opiewać w piosenkach mont-martryjskich, który wszakże jest demonicznym twórcą wszelkich dających się pomyśleć zbrodni.

Jakże mógłbym zapomnieć o legii cudzoziemskiej, o bat'd'Al, Biribi, kazamatach Guyany francuskiej, o imperialistycznej polityce kolonialnej, może bardziej ludzkiej niż brytyjska, lecz równie jak tamta hamującej dążenia wyzwolenicze ludów, zamieszkujących Indochiny i Afrykę, co przecież dysponują z programem nowych demokracji ludowych.

Wiem o tym wszystkim, znam wszystkie te sprzeczności, widzę ten chaos tragiczny zwalczających się wzajem ideologii, patrzę na to, jak nie może jeszcze okrzepnąć forma ustrojowa, która nieodwołalnie obecny proces dziejowy zgodnie z dostrzeżoną dla nas jego dialektyką zakończy — lecz wierzę w zwycięstwo Rozumu tej wspaniałej rasy, w waleczność ludu francuskiego i szlachetność jego duchowych przewodników.

Przecież już dzisiaj Francja na równi z nami i narodami słowiańskimi wydała faszyzmowi walkę nieublaganą! Już dzisiaj coraz głośniejsze mówi się o Unii francuskiej, która miałaby zająć miejsce dawnego państwa kapitalistycznego, wysysającego soki żywotne ze swych kolonii i półkolonii. Gwarantuje tych radykalnych przemian ustrojowych, jakie w najbliższej przyszłości we Francji muszą dokonać się, stanowi jednolita postawa proletariatu i solidaryzujących się z nim intelektualistów. Nie jest dla zwycięstwa postępowej myśli francuskiej rzeczą obojętną, że wielu wybitnych uczonych znalazło się po lewej stronie barykady społecznej, albo że Picasso przez wielu uważany za abstrakcjonistę lub alchemik słowa poetyckiego Eluard są członkami partii komunistycznej. To już nie snobizm Andre Gide'a — to coś więcej. To Sztuka francuska do walki o najświętsze prawa człowieka się zbroi, to znów się odezwaly echa marsylianki... Liberté, liberté chérie... C'est la lutte finale!

Oto kształt wypracowany z bezkształtu, oto melodia wysnuta z atonalnej wrzawy — oto nie czerwona, co prowadzi z mroków labiryntu Francji współczesnej ku słońcu Francji odrodzonej.

Tak przynajmniej ja pozwalam sobie, jako reżyser odczytać tekst niezmiernie skomplikowanego, ale pięknego i głębokiego myśli nasuwającego widowiska pt. „Francja współczesna”.

W dniu dzisiejszym wygląda ono jeszcze barwniej niż kiedykolwiek towarzyszy mu jazgot jarmarczny, prawdziwej ludowej muzyki i plasy w takt jej po wszystkich bulwarach i carrefourach szalejąca. Stary Paryż wyżywa się i wyzwala w jakiejś dziecięcej, bezklasowej radości, świecić 157 rocznicę zburzenia Bastylii.

Za osiem dni i Lud polski — radość podobna ogarnie.

Tak się jakoś dziwnie składa, że w niespełna dwa lata po wiekopomnym czynie mieszczańskim paryskim u nas zabłyśnie jutrenka 3 Maja, a potem wszystkie ruchy rewolucyjnie Francji znajdowały oddźwięk w tym samym niemal czasie w naszej Ojczyźnie.

Snać, mimo wszystkie reakcji zakusy, obydwie demokracje silna więź tych samych dążeń łączy — w trójdzielnym Wołności, Równości i Braterstwa doskonale wyrażonych.

Oby w walce o te ideały drogi obydwu narodów nigdy się już nie rozeszły — oto życzenia, które Polska Demokracja Ludowa, przesyła Francuskiej w dniu 14 lipca.

Leon Schiller

STANISŁAW PIĘTAK

FRONT
NAD WISŁĄ
CYKL OPOWIESCI

Stron 181
Cena zł 155

Spółdzielnia Wydawnicza
„CZYTELNIK”

JERZY KOWALEWSKI

Proces Draży Michajłowicza

Draża Michajłowicz był ministrem wojny jugosłowiańskiego rządu emigracyjnego. Był on szefem sztabu i naczelnym dowódcą t. zw. armii jugosłowiańskiej w kraju. Przy Michajłowiczu miały siedzibę sojusznicze misje wojskowe i bliski jego kontakt nie tylko z rządem emigracyjnym jugosłowiańskim, ale i z władzami angielskimi nie był dla nikogo tajemnicą. Wiadomo również o jego bliskich, bardzo bliskich kontaktach z wpływowymi kołami w Stanach Zjednoczonych. Radio i prasa anglo-amerykańska poświęcały przez cały czas wojny bardzo dużo uwagi Michajłowiczowi i jego czetnikom i w świadomości wielu ludzi, którzy swą wiedzę polityczną czerpali jedynie z tego źródła, Michajłowicz był nieomal jedną z czolowych postaci obozu antyhitlerowskiego. Do wielu, bardzo wielu ludzi nie docierały głosy przeciwe, które już w czasie wojny wskazywały na zdradziecką — wobec narodu Jugosławii i wobec sprawy sojuszniczej — robotę Michajłowicza, na rolę jaką odgrywał jego czetnicy w Jugosławii i które wzywały opinię demokratyczną świata do przeciwstawienia się zdradzie Michajłowicza.

Dla tych ludzi, wiadomość o tym, że kolegium wojskowe Sądu Najwyższego Jugosławii przystąpiło do rozpatrzenia sprawy „Draży Michajłowicza i towarzyszy”, oskarżonych o popełnienie ciężkich zbrodni wojennych, musiało być wstrząsem niemałym, tym bardziej, że pewne koła na Zachodzie, które tak aktywnie popierały Michajłowicza w czasie wojny, nie odmówiły mu swego poparcia i po dzień dzisiejszy.

zdawało się, że lekcja jaką dali narodowi długo nie będzie zapomniana. Lekcja ta rzeczywiście nie została zapomniana, ale bynajmniej nie w tym sensie w jakim sobie tego życzyło skorumpowane i zdradzieckie dowództwo, które marzyło o Jugosławii — jako o partnerze osi.

Już jesienią 1940 roku, a więc na kilka miesięcy przed wybuchem wojny, w głębokiej konspiracji przed rządem starej Jugosławii (trudno o bardziej wymowny fakt!) powstała Komisja Wojskowa, która rozpoczęła pracę nad zgrupowaniem i przygotowaniem sił patriotycznych w armii do walki z Niemcami, na wypadek, gdyby dowództwo chciało skapitulować. Po kapitulacji kwietniowej — Komisja ta przekształciła się w Sztab Główny oddziałów partyzanckich w Jugosławii. W dwa miesiące później, w końcu czerwca 1941 roku, gdy po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, powstała sytuacja umożliwiająca walkę, kierownictwo wojskowe i polityczne, powstałe w wyniku porozumienia się wszystkich sił demokratycznych, i na czele którego stanął Józef Broz - Tito, wezwało naród do powszechnego powstania zbrojnego. W lipcu 1941 roku pierwsze poważne oddziały partyzanckie wyruszyły w bój w Serbii. 13 lipca 1941 roku o oznaczonej godzinie powstaje Czarnogórze, 6.000 oficerów i żołnierzy włoskich padło tego dnia w Czarnogórze. Powstanie rozszerza się stopniowo na cały kraj. Już w sierpniu 1941 roku na pierwszych wyzwolonych terytoriach organizuje się władza ludu. W miesiąc później odbywa się pierwsza wiel-

pierwszej ofensywy, oddziały czetników pod dowództwem Miszicza wycofują się w czasie walki, obnażając front partyzantów. Zrozumiano sens tego groźnego ostrzeżenia w sztabie Tita, ale nie zaniechano rozmów. Z zadowoleniem przyjęto tam do wiadomości fakt osiągnięcia wreszcie dnia 26 października 1941 (prosimy zwrócić uwagę na tę datę) pewnego porozumienia z Michajłowiczem. Zadowolenie to skończyło się szybko i to w sposób dramatyczny. Oddział partyzancki ujął pewnej burzliwej nocy jesiennej niedźwiedzięgo oficera Olujevicza skierowanego przez „premiera” quislingowskiego jako łącznika do sztabu czetników. U oficera tego znaleziono uzgodniony między czetnikami i Nediczem plan wspólnej akcji wojsk Nedicza i Michajłowicza przeciwko partyzantom. Jednocześnie bowiem z rozmowami prowadzonymi z Titem, Michajłowicz prowadził rozmowy z szefem rządu quislingowskiego, Nediczem, z którym zawarł porozumienie o wspólnej walce przeciwko ruchowi narodowo-wyzwoleńcemu. Nedicz miał dostarczyć czetnikom broń i pieniądze. Umowa ta została zawarta w porozumieniu z niemieckim generałem Dunkelmanem. Pod osłoną rozmów z przedstawicielami dowództwa partyzanckiego, rokowano wiarołomnie w sztabie Michajłowicza z fałszywymi, a poprzez nich i z Niemcami. Pod osłoną tych samych rozmów robiono ostateczną przygotowania do wielkiego uderzenia. Wkrótce po przybyciu do sztabu Michajłowicza przedstawiciele rządu emigracyjnego Ostojicza i Lalatowicza i przedstawiciele angielskich sił wojskowych — kpt. Hudsona, dnia 1 listopada 1941 roku, Michajłowicz wydaje rozkaz swym jednostkom zaniechania walki z Niemcami, wycofania się z odcinków frontu, zajmowanych przeciw Niemcom oraz rozpoczęcia generalnego ataku przeciw partyzantom. W nocy z pierwszego na drugiego listopada 1941 roku, na rozkaz Michajłowicza czetnicy otworzyli ogień na pozycje partyzantów.

Odtąd wypadki toczą się szybko, szybkojeźni anizeli dotychczas. W tymże samym miesiącu listopadzie, naród Jugosławii z przerażeniem dowiaduje się o tym, że oficer Michajłowicza Jovan Szakawa wydał w ręce Niemców 365 jeńców partyzanckich. W tymże samym miesiącu dochodzi do skutku pierwsza konferencja Michajłowicza z Niemcami. Rozpoczyna się okres „legalizowania” — na rozkaz Michajłowicza — oddziałów czetnickich u Niemców i Włochów. Zalegalizowane oddziały czetników otrzymują broń, żywność i umundurowanie od okupantów. Razem z okupantem prowadzą czetnicy walkę przeciwko patriotycznemu ludowi Jugosławii. W czasie trzeciej ofensywy — oddziały Michajłowicza, na włoskich antach przetrzucane są z odcinka na odcinek frontu, wypełniając rozkazy dowództwa włoskiego. W okresie czwartej ofensywy przeciw wojskom Tita (styczeń — kwiecień 1943), której plan osobiście opracowali Hitler i Mussolini, rola Michajłowicza jest bardzo wydatna i poważna. Osobiście dowodzi on swymi wojskami, walczącymi ramie przy ramieniu z Niemcami, Włochami, chorwackimi faszyzami, wojskami Nedicza i faszystowskimi bandami Loticza. Współpraca ta



Draża Michajłowicz na ławie oskarżonych

Na czym polega specyficzność zbrodni wojennej Michajłowicza? Jak trafił na ławę oskarżonych ten minister wojny rządu emigracyjnego Jugosławii? Dlaczego po dziś dzień reakcyjna prasa i reakcyjne elementy na świecie murem stają w obronie tego człowieka, którego przeklina cała Jugosławia?

Należy przypomnieć kilka faktów. Dzień 27 marca 1941 roku — uważany jest w Jugosławii za jeden z najbardziej znamienitych dni w historii tego kraju. Tego dnia lud Jugosławii obalił zdradziecki rząd księcia Pawła — Cwetkowicza — Maczeka, który podpisał pakt o przystąpieniu Jugosławii do osi. Rząd Cwetkowicza został zmuszony do ustąpienia. 6 kwietnia 1941 roku do Jugosławii weszli Niemcy. Po 10 dniach dowództwo jugosłowiańskiej armii złożyło broń.

Lud Jugosławii chciał walczyć z najeźdźcą. Dowiódł tego 27 marca. Dowiódł tego w czasie mobilizacji, gdy setki tysięcy ludzi zgłosiło się do wojska. Dowiódł tego najlepiej w ciągu następnych lat, gdy w sposób bohaterski walczył z okupantem. Ale reakcyjne dowództwo starej armii, którego w ciągu paru dni nie mógł zmienić rząd Smowicza powstały w rezultacie 27 marca, ani nie chciało, ani nie było zdolne do walki z Niemcami. Sytuacja w Jugosławii była wtedy, jeśli się tak można wyrazić, klasycznie jasna. Siły, które przygotowały przystąpienie Jugosławii do osi — zetknęły się 27 marca oko w oko z narodem. 27 marca — był kłęską reakcji. Kapitulacja była zapłatą za tę kłeskę. Nie było wcale przypadkiem, że jako jeden z pierwszych złożył broń generał Nedicz, późniejszy „premier” quislingowskiego rządu w Serbii. Zdradzieccy generałowie nie omieszkali przy tej okazji i w inny sposób zemścić się na ludzie. Chcąc ostatecznie wybić z głowy żołnierzom wszelką myśl o walce z Niemcami, posyłali swoje oddziały bez odpowiedniego uzbrojenia na niemieckie czołgi. Niemieckie czołgi również brały odwet za 27 marca. Nediczom

ka narada wojskowa delegatów partyzanckich z całego kraju. Narada opracowuje nie tylko plan operacji wojskowych — ale przyjmuje również szereg ważnych uchwał politycznych, z których najważniejsza zawiera apel o współpracę wszystkich sił patriotycznych w walce z okupantem.

Kierownictwo oddziałów partyzanckich wiedziało już wtedy o tym, że w rejonie Rawnej Gory ukrywa się z grupą oficerów płk. Draża Michajłowicz. Pierwsze próby nawiązania kontaktów między partyzantami Tita a Michajłowiczem datują się z czerwca 1941 roku. Michajłowicz na skierowane do niego propozycje wspólnej walki odpowiada, że nie nadzedł jeszcze moment dogodny do ruszenia w pole. Moment ten, zdaniem Michajłowicza nadejdzie, gdy... do Jugosławii wejdą sojusznicy, lub gdy Niemcy zaczną uciekać z Jugosławii. Do tego czasu należy „czekać z bronią u nogi”.

Nie łatwo było Michajłowiczowi wpoić w świadomość przeciętnego Serba, że trzeba czekać z bronią u nogi, ale Michajłowicz był zdecydowany wpoić tę świadomość, bez względu na środki, jakich należałoby do tego użyć. Gdy w pierwszych tygodniach ruchu partyzanckiego oddział czetnicki pod dowództwem por. Martinowicza i popa Zeczewicza, razem z partyzantami Tita bił Niemców, Draża wydał rozkaz rozstrzelania Martinowicza. Tym niemniej rozmowy Michajłowicza z przedstawicielami Tita trwały. W sierpniu 1941 r. dochodzi do skutku spotkanie Tita — Michajłowicza, na którym postanowiono, że niezależnie od wyników rozmów w sprawie współpracy, czetnicy nie będą napadać na partyzantów. I rzeczywiście, w czasie pierwszej ofensywy przeciwko wojskom Tita (wrzesień — listopad 1941) niektóre oddziały czetników walczyły po stronie partyzantów. Ale już wtedy zdarzają się fakty, których wymowa jest znamienita i niepokojąca. Oto na jednym z najważniejszych odcinków frontu w czasie

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

Warszawa
w kwietniu 1943 r.

Pamięci Zuzanny Ginczanki

Jest lepka krew i dźwięczne struny.
Wieczór wiosenny i późny.

To w detonacjach z ghetta
schodzi dzień.

Ściekami
czerwień ciemnieje.
I śmierć za murem, ceglanym progiem.
Kroki na kaźni plac — nie moje.

Jasny rachunek — zgon,
w gwiazdach — zapłata.
Oto umiera człowiek,
któremu nie byłam bratem.

Wieczór wiosenny nad Warszawą.
Okruszynami słońce w liściach świeci.
I tłum na Nowym Świecie.
Bawią się dzieci.

Lagodnym pluskiem fal nadwiślańskich
podpływa wieczór szary.
Zamknijcie okna domów łaski,
tam jeszcze strzaly.

Tam
jeszcze wesy śmierć samotna,
krwawo w rubikonach ścieków pluszcze.
Wam
umierać w późny wieczór
z nienawiścią ku mnie
słusznej.

zacieśnia się po czwartej ofensywie i nie ustaje ani na chwilę.

Nie sposób wyliczyć — nawet w przybliżeniu — nie tylko wszystkich faktów współpracy czełników i Michajłowicza z okupantem, ale nawet faktów najważniejszych. Sąd belgradzki przesłuchiwał Michajłowicza w ciągu 6-ciu dni. Odczytano w tym czasie setki dokumentów z jego archiwum. Naprawdę usiłowaliśmy usystematyzować tę lawinę faktów o których mówili dokumenty Michajłowicza. Zrezygnował z tej próby do pewnego stopnia i sąd, który w pewnej chwili zamiechał mozolnego badania okoliczności, kto spośród wysokich oficerów Michajłowicza współpracował z okupantem i podjął próbę ustalenia, — kto nie współpracował z okupantem. Było to rzeczywiście, jak się okazało, słuszne postawienie sprawy. Bez trudu ustalono, że w gruncie rzeczy nie było takich.

Ustalono również w czasie przewodu sądowego, że w sztabie Michajłowicza „teoretycznie” uzasadniano potrzebę braterskiej współpracy z Włochami. Duch antyfaszystowski ogarnął rzekomo armię włoską. Pytanie, czy duch antyfaszystowski ogarnął również i generałów włoskich, w rodzaju osławionego generała Roatta, „bohatera” słynnej ucieczki z sali rozpraw, i honorowego gościa Andersa, oraz generała Robotti, kasa Słoweńi i szefa „naszego” Kutschery, z czasów jego pobytu w Lublanie, pozostało bez odpowiedzi.

Ustalono również, że Michajłowicz nie dał rozkazu walki z Niemcami nawet wtedy, gdy jesienią 1944 roku Niemcy zaczęli uciekać z Jugosławii. Przypominamy, że zgodnie z oficjalną interpretacją hasła „czekania z bronią u nogi” — był to właśnie moment, na który czekano rzekomo w sztabie Michajłowicza, żeby wystąpić przeciw Niemcom. Zamiast bić Niemców, czełnicy wycofywali się z nimi razem.

Ustalono również miejsca i daty wielokrotnych konferencji Michajłowicza z przedstawicielami dowództwa niemieckiego, które niekiedy odbywały się w bardzo ciekawym towarzystwie, o czym będzie mowa niżej. Ustalono fakt przybycia do sztabu Michajłowicza, specjalnie przyslanego z Wiednia działacza Gestapo, Gasprowicza. Osobnik ten przybył dla organizacji „roboty” gestapowskiej w zapleczu armii narodowo - wyzwolitej i dla organizacji szkół gestapowskich. Michajłowicz przyznał, iż wiedział — kim jest Gasprowicz i korzystał z jego współpracy, robiąc mu wszelkie ułatwienia i udogodnienia. Podobno zresztą, jak twierdził oskarżony, miał wydać rozkaz rozstrzelania Gasprowicza, ale dopiero po pewnym czasie, widocznie po wykonaniu przez niego określonych zadań.

Ustalono jednym słowem, że działalność Michajłowicza była jednym pasmem zdrady i zbrodni. Nie tylko zbrodni i zdrady narodu ale i pospolitych zbrodni wojennych. Mordy, gwałty, rabunki i pożary, znaczący drogę czełników. Widziałem kraj, przez który przeszli czełnicy. Wygląda on, jakgdyby został nawiedzony przez trzęsienie ziemi. Jeden z mostów na Drinie, na którym dokonano szcze gólnie potwornej zbrodni, — jak głosi legenda ludowa, — krwawi jeszcze po dzień dzisiejszy. Potworne były zbrodnie popełnione na ludności muzułmańskiej. Straszliwe były wyniki okrutnych walk narodowościowych między ludnością serbską i chorwacką, rozpętanych z jednej strony przez Michajłowicza, a z drugiej przez chorwackich faszystów — ustaszy. W czasie najostrożniejszych walk z ustaszy — Michajłowicz zresztą nie przerywał kontaktów z kierownikami tego ruchu i pisywał do nich listy apelujące o współpracę w walce z ruchem narodowo - wyzwolitecznym.

Trybunał belgradzki wielokrotnie, przy wszelkich okazjach, wracał do kwestii — kto kierował Michajłowiczem, czyją wolę wykonywał Michajłowicz? Oskarżony bardzo chętnie udzielał odpowiedzi na tego rodzaju pytania, kierując się zawsze norymberską taktyką, „dzielenia się” odpowiedzialnością z innymi. Wyjaśnił on sądowi, że o wszystkich jego posunięciach był poinformowany rząd emigracyjny, który akceptował jego linię postępowania. Od rządu emigracyjnego otrzymywał on prócz wyrazów uznania również bardzo poważne fundusze, jak i bardzo często awanse i odznaczenia. Ten fakt oczywiście nie stanowi żadnej rewelacji. Trudno byłoby wyobrazić sobie sytuację, że rząd nie wie, względnie nie akceptuje tego, co robi jego minister wojny. Zainteresowanie opinii publicznej wywołuje natomiast fakt następujący. O poczynaniach Michajłowicza wiedział rząd angielski. Wiedział on o tym, chociażby dlatego, że łączność Michajłowicza z rządem emigracyjnym utrzymywana była za pośrednictwem Anglików i pod kontrolą Anglików. Fakt, że rząd angielski wiedział o współpracy czełników z okupantem, przyznał przedstawiciel angielskiego ministerstwa spraw zagranicznych na pytanie postawione przez korespondentów zagranicznych dnia 12 czerwca, a więc w trzecim dniu procesu. Również i w Ameryce wiadomo o tych faktach. Działal tam b. ambasador jugosłowiański Foticz, który utrzymywał kontakt z Michajłowiczem poprzez amerykańskie, wojskowe stacje radio

we. Foticz jest obecnie jednym z zaocznie sądzonych na procesie Michajłowicza. Ustalenie tego faktu wprowadza nas w dziedzinę zjawisk, które przeciętnemu człowiekowi trudno zrozumieć. Jak wiadomo, walka narodów Jugosławii nie była bynajmniej nic nie znaczącym epizodem w historii ostatniej wojny. Walka narodów Jugosławii, armia narodowo-wyzwoleńcza w Jugosławii, wzięła w roku 1941—510,000 wojsk okupacyjnych, w r. 1942 — 660,000, w r. 1943 — 700,000. Jeszcze w r. 1944, gdy sytuacja Niemiec na wszystkich frontach była już bardzo krytyczna, w Jugosławii znajdowało się nie mniej niż 24 dywizje niemieckie, jeden samodzielny korpus i 20 samodzielnych pułków, — razem armia półmilionowa. Niesposób zaprzeczyć, że wiązanie w Jugosławii takich sił przeciwnika nie mogło nie mieć bardzo istotnego znaczenia dla przebiegu działań wojskowych na innych frontach wielkiej wojny z hitleryzmem.

O tym, jak dowództwo anglo - amerykańskie oceniano działania armii narodowo - wyzwolitej w Jugosławii najlepiej mówi oświadczenie szefa misji wojskowej anglo-amerykańskiej przy sztabie głównym armii narodowo - wyzwolitej, gen. Mac Lean, złożone przedstawicielowi prasy jugosłowiańskiej w początku 1944 r. „Armia narodowo - wyzwolitej, mówi gen. Mac Lean, wyrosła pod wspólnym kierownictwem marsz. Tity w wielką zdyscyplinowaną siłę, rozporządzającą licznymi korpusami i dywizjami, dowodzonymi przez wykwalifikowanych dowódców... Siła wojsk partyzanckich jest tak wielka, że nieprzyjacieli zmuszony jest do utrzymania w Jugosławii liczących dywizji, które mogłyby być użyte na innych frontach Niemców wielkie siły polityczne znaczenie ruchu narodowo-wyzwoleńczego. W tej bohaterkiej walce o wyzwolenie narodowe zrodził się duch braterstwa, który po raz pierwszy w historii łączył wszystkie narody Jugosławii w jedną całość. Pod kierownictwem marsz. Tity, który okazał się również wielkim wodzem politycznym jak i wojskowym, powstał jednolity front narodu, obejmujący najlepsze elementy ze wszystkich warstw ludności. Na tej podstawie powstała, z woli narodu i wbrew faszystowskiemu okupantowi, prawdziwa demokracja, natchniona takim samym zapałem, jaki ożywia żołnierzy armii narodowo - wyzwolitej. Rządy W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych są teraz całkowicie poinformowane o prawdziwym stanie rzeczy w Jugosławii i możecie być pewni, że pragną pomóc starodom Jugosławii w ich nadludzkiej walce ze zradzieckim nieprzyjacielem. By mogły one zgodnie z Kartą Atlantyką ustanowić w swym kraju taki rząd, jakiego sobie życzą”.

Michajłowicz ujawnił na procesie rzeczy, które trudno byłoby pogodzić z duchem cytowanego wyżej oświadczenia Mc. Leana. Wspomnieliśmy już wyżej, że słynny rozkaz Michajłowicza z dnia 1 listopada 1941 roku, o rozpoczęciu działań wojennych przeciw

partyzantom, wydany został w kilka dni po przybyciu do jego sztabu kpt. Hudsona. W Jugosławii nie uważa się, żeby fakt ten był przypadkowy. Michajłowicz zeznał dalej, że np. udział jego w czwartej ofensywie po stronie Niemców i Włochów był spowodowany następującymi momentami. Plk. Bailey, członek angielskiej misji wojskowej, zakomunikował mu na początku roku 1943, że wobec przewidywanej klęski i kapitulacji Włoch przygotowywane się desant sojuszniczy w Dalmacji. Michajłowicz winien przygotować grunt dla tego desantu przez „oczyszczenie” Dalmacji od partyzantów Tity.

W maju 1944 roku emisariusz Michajłowicza w Londynie, Baczewicz, składa oskarżeniemu raport o rozmowach przeprowadzonych z gen. Mastersonem. Wojskowy ten, przedstawiciel armii sojuszniczej, oświadczył, że sytuacja Michajłowicza może się poprawić jedynie po wytepleniu komunistów. Dla wyjaśnienia należy dodać, że w terminologii Michajłowicza słowem „komunista” oznaczano wszystkich zwolenników i sympatyków ruchu narodowo - wyzwolitecznego. Tę elegancką, goebbelsowską terminologię stosował nie tylko gen. Masterson, ale wszyscy, którzy mieli do czynienia z Michajłowiczem.

W końcu lipca 1944 r. przybył do Michajłowicza przedstawiciel amerykańskiej misji wojskowej plk. Mc. Dowell, który przywiózł oskarżonemu następujące wskazania polityczne. Walka Michajłowicza z Niemcami nie interesuje sojuszników. Sojuszników interesuje jedynie to by Michajłowicz utrzymał swą pozycję w Serbii.

Plk. Mc. Dowell nie ograniczał się do dawania Michajłowiczowi tego rodzaju pouczeń. Występował na zebraniach publicznych, a prócz tego brał udział w spotkaniach i konferencjach Michajłowicza z delegatem dowództwa niemieckiego Staerkerem. Na jednej z takich konferencji miał być obecny i przedstawiciel naczelnego dowództwa niemieckiego w Jugosławii Neubaehera. Ku żalowi zarówno Michajłowicza jak i Mc. Dowella — Neubaehera nie przybył. W rozmowie ze Staerkerem Mc. Dowell mówił wyraźnie o konieczności uzbrojenia czełników.

Rewelacji tych słuchali obecni na sali sądowej w osłupieniu. W osłupieniu słuchaliśmy np. takiego dialogu:

Przewodniczący: Dlaczego oskarżony walczył z partyzantami, a nie z Niemcami?

Oskarżony: Kazano mi utrzymać kontrolę nad Serbią. Kontrolę tej zagrażała nie Niemcy, a partyzanci.

Przewodniczący: Kto kazał utrzymać kontrolę nad Serbią?

Oskarżony: Sojusznicy.

Przewodniczący: Czy wszyscy sojusznicy? Oskarżony: Nie.

Przewodniczący: Któż więc?

Oskarżony: Plk. Mc. Dowell.

Próbowałam dowiedzieć się czegoś o tych ludziach, o pułk. Bailey, o kpt. Hudsonie, o

plk. Mc. Dowell. Udało nam się ustalić, że Bailey, jak podawała prasa londyńska, był przed wojną dyrektorem i wielkim akcjonariuszem kopalni miedzi w Jugosławii. Zasięg jego zainteresowań, zarówno terytorialnie jak i przedmiotowo, jest dość ściśle określony. Po ustąpieniu z misji wojskowej przy Michajłowiczu był on doradcą gospodarczym misji angielskiej w Bułgarii. Obecnie jest współpracownikiem wydziału handlowego poselstwa angielskiego w Turcji. Jak widać plk. Bailey jest człowiekiem, którego interesują dwie rzeczy — interesy gospodarcze i rejon Bałkanów. To wyjaśnia całkowicie niektóre rewelacje procesu Michajłowicza.

Rewelacje ogłoszone na procesie Michajłowicza wywołały zrozumiałe zainteresowanie na świecie. energicznie zaprotestował przeciwko tym zeznaniom Michajłowicza plk. Mc. Dowell. Przyznał on wprawdzie, że brał udział w dwóch konferencjach ze Staerkerem razem z Michajłowiczem, ale przedmiotem tych konferencji była rzekomo sprawa kapitulacji Niemiec. Wiadomość o tym, że latem i jesienią 1944 r. takie osobistości jak Staerker i Mc. Dowell rozmawiały ze sobą na temat kapitulacji Niemiec, nie wygląda jednak dość prawdopodobnie. Bardziej może prawdopodobnie brzmi komentarz prasy radzieckiej do „sprostowania” Mc. Dowella. Prasa ra dziecka przypomniała w związku z tym fragment ze słynnej książki dziennikarza amerykańskiego Ralpa Ingersolla „Ścisłe Tajne”, gdzie w ten sposób charakteryzuje się zainteresowanie Anglików Bałkanami. „Droga Bałkańska, pisał Ingersoll — to magnes, ku któremu niezmennie zwraca się wskazówka strategii angielskiej, w jakakolwiek stronę byśmy ją obracali!”

Michajłowicz korzystał z materialnego, moralnego i politycznego poparcia zachodnich sojuszników. We wszystkich oficjalnych i jawnych enuncjacjach — Michajłowicz i sto jący za nim rząd emigracyjny występują jako przysięgli przyjaciele sojuszników zachodnich. Prócz poparcia dawało im to nie małe atuty i w Jugosławii i zagranicą. Dawało to im możliwość prowadzenia za sobą pewnej części społeczeństwa, stwarzało pozór ciągłości władzy i konstytucyjnej „legalności” kierownictwa czełnikowskiego. Momenty te były bardzo istotne i Michajłowicz nie pomijał żadnej okazji, by je manifestacyjnie podkreślać. Ale w warunkach wojny narodowo - wyzwolitej nie to decydowało o sile i znaczeniu poszczególnych grup politycznych, w jakim stopniu korzystają one z poparcia królewskiego rządu i w jakim stopniu zachowana została ciągłość władzy. O sile i wpływie poszczególnych obozów politycznych decydował jeden fakt, — w jakim stopniu obóz ten walczył z okupantem w jakim stopniu kieruje walką narodu o wolność.

Michajłowicz i rząd emigracyjny chcieli stworzyć w Jugosławii siłę zdolną do objęcia spadku po okupancie. Ale obok nich i w przeciwieństwie do nich wyrosła siła, która nie czekała na ten spadek „z bronią u nogi”, ale bardzo skutecznie przyspieszała koniec okupanta i nie czekając chwili ostatecznego zwycięstwa, przystępowała do ułożenia stosunków w kraju zgodnie z interesami i wolą obrzmiej większości narodu. Stawało się stopniowo coraz bardziej jasnym, że to nie Michajłowicz będzie likwidował skutki okupacji, że gospodarzem kraju będą te siły, które o niepodległość walczyły od pierwszej chwili i które te niepodległość zdobywały.

Nie jest winą Michajłowicza i jego wszystkich przyjaciół, że misterny łańcuch zdrady i wiarołomstwa, w który chcieli zakuć narody Jugosławii, rozerwany został na drobne kawałki przez wojska Tity, przez całą lud. Gdyby Europa dzisiejsza była podobna do Europy po pierwszej wojnie światowej, Michajłowicz nawet po klęsce, w samotnej willi rozpamiętywałby dawne dzieje i snuł refleksje. Ale Europa dzisiejsza nie jest podobna do Europy przedwojennej. Za zdradę i wiarołomstwo, za krew i zniszczenia Draza Michajłowicz odpowiada przed Sądem Ludowym i oczekuje sprawiedliwego wyroku.

Jerzy Kowalewski

TRĘŚ POPRZEDNIEGO NUMERU

W poprzednim (28) numerze „Kuznicy” z dnia 22.7. 46 r. zamieszczono następujące prace i artykuły:

Ankieta „Esprit” o komunizmie: Georges Mounin; Dlaczego nadal jestem komunistą — Paul Verroy; Odpowiedź na ankietę. — Oświadczenie pracowników kultury. — Jan Kott: Szkoła historii. — Mieczysław Jastrun: Pamięci Józefa Oppenheima. — Mariusz Margal: Podczas procesu Greisera. — Kazimierz Brandys: Lato 1940. — Jan Kott: Dyskrekcja katolików, czyli tajemnica kościoła. Stanisław Śreniowski: Spóźniona książka. — Pierre Francastel: Nowe malarstwo francuskie. — Henryk Ułasyn: Kłopot z orzeszkami. — Ryszard Matuszewski: O autentyzmie, autentyczności i co z tego wynika. — Edward Szuster: Powrót z przedświata śmierci. — Julia Hartwig: Z czasopiśmie francuskich. — ph: Przegląd prasy. — RKM, jż: Życie teatru. — Noty. — Jan. Rojewski: Siedem dni. — Polski Słownik Biograficzny.

JESZCZE O CHESTERTONIE

W Nr 25 „Kuznicy” z 1 lipca r. 1946 ukazał się artykuł prof. W. Borowego pt. „Prace i wypadki anglistyczne” protestujące przeciw zbyt pochopnemu likwidowaniu przez p. Wionczka „anglistyki polskiej i G. K. Chestertona”. Prof. Borowy cytuje zdanie z artykułu p. Wionczka „Noty o muzach nad Tamizą” stwierdzające, że „od śmierci Chestertona nie było zdaje się żadnego wydania żadnej jego książki” i ubolewa nad tym, że nie może zająć do wolemych roczników „English Catalog”, aby zaprzeczyć katagorycznie „lapidarnym twierdzeniom” przeciwnika.

Jedynym źródłem informacji prof. Borowego jest — według jego słów — „pozyskana dzięki wyjątkowym okolicznościom” książka Malsie Ward pt. „G. K. Chesterton”, a jedynym dowodem przedrukowywania w Anglii książek zaatakowanego przez p. Wionczka pisarza jest nabyty w Warszawie w księgarni Trzaski tom wyboru jego pism wydany przez Everyman's Library w r. 1941.

W związku z powyższym artykułem pozwalał sobie — jako kierownik działu wydawniczego Księgarni Wydawniczej Trzaska, Evert i Michalski, mający do dyspozycji wykazy corocznej produkcji angielskiej — zasilić materiał dowodowy prof. Borowego.

J. Whitakera „Five Year Cumulative Book List 1939—1943” będący kompletnym wykazem wszystkich książek wydanych w Wielkiej Brytanii w ciągu wymienionego pięcioletnia, notuje pod nazwiskiem G. K. Chestertona 19 pozycji. Książki tego pisarza zostały wydane przez najpoważniejszych wydawców angielskich, członków Publisher's Association, przy tym na Methuena przypada 7 pozycji, na Sheeda and Warda — 4, na Collinsa — 2, na Lane'a — 2, na Hoddera — 2 i na Denta — 1.

Wydane zostały w czasie wojny u Methuena: „Alarms and Discursions”, „All I Survey”, „As I Was Saying”, „The Ballad of the White Horse”, „Come to Think of It”, „The Flying Inn” i „Wine Water and Song”.

U Sheeda and Warda: „The Coloured

Lands”, „Orthodoxy”, „The Thing” i „The End of the Armistice”.

U Collinsa: „Essays” — dwa wydania.

U Hoddera: „St. Thomas Aquinas” i „St. Francis of Assisi”.

U Lane'a: „Orthodoxy” — dwa wydania.

U Denta: „Defendant”.

J. Whitakera „Cumulative Book List” z r. 1944 notuje wydanie przez firmę Sheed and Ward „The Queen of Seven Swords” G. K. Chestertona. W tymże roku ukazała się nakładem tej firmy cytowana przez prof. Borowego książka Malsie Ward pt. „G. K. Chesterton” i doczekała się drugiego wydania w rekordowym czasie, bo już w r. 1945.

Prócz tej książki o Chestertonie ukazała się w czasie wojny praca M. Evans pt. „G. K. Chesterton” wydana przez Cambridge University Press. Wymieniają ją Whitaker nie podaje roku wydania, widziałam ją jednak w księgarniach londyńskich w kwietniu r. b. — jeżeli mnie pamięć nie myli — był to r. 1942.

Tyle w sprawie odkrycia p. Wionczka, że „nie może w życiu dzisiejszej Anglii znaleźć żadnych śladów tego pisarza”. Jeśli chodzi o drugie twierdzenie, że rzekomo żaden z Anglików nie traktował Chestertona poważnie, pozwolę sobie powołać się na obie książki o Chestertonie M. Ward i M. Evans oraz na oficjalne wydawnictwo British Council pt. „British Authors”, Londyn 1943. Autor tej „Galerii XX w.” R. Church zalicza G. K. Chestertona do „gwiazd pierwszej wielkości na firmamencie literatury angielskiej” i twierdzi, że był to „największy essayista tych czasów” (He was the greatest essayist of his time), który zostawił po sobie genialne prace o Blake'u, Dickensie, Browningu i św. Tomaszowi z Akwinu.

Polscy angliści nie padli chyba ofiarą „tragikomicznego nieporozumienia”, skoro R. Church twierdzi, że i w Anglii „G. K. C.” przyjmowany był entuzjastycznie przez „his hundreds of thousands of affectionate readers” („setki tysięcy jego zapalonych czytelników”).

Halina Auderska

ERWIN AKSER

W R O K U 1939

I. OSTATNIE TYGODNIE PRZED WOJNA

W czerwcu założyłem się z Jurkiem, że będzie wojna. Nie znaczy to jednak, żebym naprawdę tak myślał. Jurek był jednym z nielicznych, którzy twierdzili, że jedyna możliwa wojna, to wojna interwencyjna przeciw Sowietaom. Jurek wierzył w to, co mówił, ale się omylił. Ja nie wierzyłem, ale się nie omyliłem.

W lipcu napisałem do mego przyjaciela Morcia, który będąc z natury człowiekiem ostrożnym, jeszcze na wiosnę wyjechał do Ameryki, — że kiedy się słucha niemieckiego radia, to po prostu chciałoby się, żeby już była wojna. Nie znaczy to jednak, żebym naprawdę chciał. Wiedziałem nawet, że napisałem dość głupio, ale, jak to bywa, nie chciało mi się kreslić, ani przepisywać.

Tymczasem wszyscy zachowywali się podobnie jak ja. Twierdzili, że napewno będzie wojna i to po żniwach. Rozmawiano o tym spokojnym tonem pewności, jakby chodziło o dobry urodzaj gruszek w połowie września. Ten ton i ten termin (akurat w połowie września) sprawiały, że w gruncie rzeczy nie brałem całej historii zbyt serio. Ochoty na wojenkę nie miałem, a inni chyba także nie mieli.

Jednakże niepopularny Beck wyrósł w ciągu nocy (nawiasem mówiąc majowej) na bohatera narodowego. Wszyscy podziwiali jego geniusz dyplomatyczny i jego wspaniałą mowę. Reżyser W. powiedział nawet, że „Beck nigdy nie mógłby tak przemawiać, gdybyśmy w naszej historii nie mieli Mickiewicza iłowackiego”. Zapewne dużo w tym słuszności.

Rósł więc Beck, z lewa i z prawa przyjmując rozgrzeszenia, a z nim razem powiększał swoją popularność Hemar, który go wysławiał w kabaretowych numerach, a wykpiwał Hitlera, ku wielkiemu zadowoleniu publiczności warszawskiej.

W kinach ludzie wstawali i klaskali, kiedy na ekranie pokazał się kawałek armaty albo mundur i tylko korporanci krzyczeli wtedy: Cicho Żydy! — rezygnując z aspiracji mocarstwowych na rzecz silniejszej namiotności.

Kilka razy jechałem pociągami. Rozmawiano zawsze tak samo z małymi odmianami. Nie wnosząc niczego nowego, brałem udział w tych rozmowach „o bombowcach dziennych i nocnych, o podróży Kasprzycy do Paryża, (bardzo zdolny człowiek, tylko ta akorka...), o Hitlerze (wielki człowiek, co tu mówić), o artylerii przeciwlotniczej, o żniwach, o tym, co by było, gdyby żył Marszałek, o wizycie generała Ironside... Pewien Żyd cynicznie i wbrew opinii powszechnej twierdził, że Ironside nazwał polską armię przedpotopową — za co go o mało nie wyrzucił z przedziału. (Żyda). A potem znowu o żniwach...

Szczególnie dobrze pamiętam młodego człowieka w jasnym garniturze, który z wielką pewnością twierdził, że wojnę wygrała narody „biologicznie młode”, między innymi i my, a przegrają stare, między innymi Anglia i Francja... Zdumiał mnie ten młody człowiek; dziś już nie zdumiewa, spotykam go bowiem często. Częściej niż przed wojną.

W czerwcu ojciec napisał mi, żeby nie trać czasu na szukanie engagement (skończyłem właśnie szkołę reżyserską) bo i tak czeka mnie chwila co innego.

Mimo to traciłem czas na szukanie zajęcia. Z początkiem lipca mieliśmy bankiet razem z profesorami (z okazji dyplomów). Pan nauczelnik Zawistowski powiedział przy winie — że na nasze szczęście „ten genialny wariat” klóci się z Rosją i dlatego nie nam nie będzie. Wysoce urzędniczy ministerialni muszą wiedzieć — pomyślałem sobie — i tym bardziej szukałem engagement. Nie przyszło mi wtedy do głowy: „Nie taki może genialny, a przede wszystkim nie taki wariat”.

Umówiłem się z Schillerem w kawiarni na Placu Teatralnym. Był bardzo pesymistycznie usposobiony i mówił o Churchillu „ten stary bałwan” — przewidując, że nie uchroni świata od wojny. Potem przyszła pani Tarcjana Wysocka. Syn jej był w wojsku, nie przyczyniła się więc do rozproszenia ponurego nastroju. Rozmawialiśmy o tym, że nie wszystkie bomby trafiają i jakie jest prawdopodobieństwo, że bomba spadnie na Plac Teatralny, jeżeli lotnik celuje w dworzec. (Możliwości celowania w Plac Teatralny nie wzięliśmy pod uwagę). Wreszcie Schiller mówił, że Polska jest zapadłą prowincją Europy, ale Polacy tego nie rozumieją.

Wobec tego znów zacząłem trochę wierzyć w wojnę i pojechałem na wakacje, zwłaszcza, że załatwiłem co mogłem.

Jeszcze przedtem przechodziłem z Jurkiem Wierzbową i policjantem kazał mi zapłacić karę, bo nie szedł między gwoździami. Jurek zaczął się stawić, rozświecił nieco policjanta, ale w końcu pokazał legitymację (książeczkę wojskową), bo w gruncie rzeczy jest legalista, chociaż się do tego nie przyznaje. — Patrzymy, a tu policjantowi zmienia się twarz, grzecznie sznuga nogą, salutuje i mó-

wi: „Bardzo pana porucznika (rezerwy) przepaszam. Pan porucznik nie będzie miał do mnie pretensji?”. Jurek odebrał legitymację, wymamrotał parę słów i odszedł z trochę triumfującym, a trochę głupim uśmiechem.

Zorientowałem się wtedy, że coś jest nie w porządku, jeżeli szacunek, który się koncentrował w Polsce na pułkownikach, doszedł już do podporuczników (rezerwy). Ale prędko o tym wypadku zapomniałem.

Podczas wakacji, na wsi, tylko brzękiem świadomości pamiętałem o groźbie wojny. Nie wiem, co wtedy w Polsce mówiono o tym, bo miałem ciekawsze zajęcia.

Szóstego sierpnia słuchałem w radio mowy Rydza: „Niech nikt nie sady, że jego miłość ojczyzny większa jest od naszej”. Pomimo przerwy wakacyjnej powszechne ogłupienie poczyniło w moim umyśle takie postępy, że słuchałem tej mowy z pewnym uznaniem. Wołałem zapomnieć o powszechnie znanej i uznanej słabości umysłu człowieka, znajdującego się na drugim końcu tego potopu fal elektro - magnetycznych.

Ciekawa rzecz, w owym czasie, zarówno jak ja, przeważająca część tak zwanej postępowej inteligencji, wychowanej w nienawiści do wojny, na ten jeden raz jeszcze zrezygnowała ze swoich zasad. Mogę powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, że bardzo prędko powróciłem do nich. Jednak jeszcze dzisiaj znajduję się w nader nielicznym towarzystwie.

Jeszcze dzisiaj nie wiem, jak sobie tę wojnę wyobrażaliśmy. Prawdopodobnie nie wiele sobie wyobrażaliśmy poza tym, że na końcu Niemcy będą rozbite. Rozmawiałem wprowadzić z niejednym, który przewidywał naszą klęskę. Ale było to już po wrześniu.

Liczyliśmy na to, zdaje się, że zatrzymamy Niemców bodaj na linii Wisły, (Prusy Wschodnie oczywiście rzecz jasna z miejsca), a tymczasem czyli do kilku miesięcy Francja i Anglia zrobią swoje. Takie były myśli niewtajemniczonych, a różne zdarzenia dodawały im otuchy, jeżeli chcieli być otuchy pełni. Np. w Gdyni pokazały się podobno niemieckie samoloty nad portem i masza święta artylerii przeciwlotnicza w parę minut wszystkie zestrzeliła. — Jeszcze w kwietniu rozeszła się pogłoska, że na dworcu w Zbąszczyntu wjechała niemiecka pancernka (!), ale „my otworzyliśmy ogień” i pancernka wycołała się z „wielkimi stratami”. Jadłem w tym dniu obiad u Horzycy, który powiedział: „Dokonała. Dostali nauczkę. Teraz widza, że z nami nie tak łatwo”. Bardziej wtajemniczeni mówili, że pancernka była z cienkiej blachy, nieledwie kartonu i, że Niemcy w ogóle tylko takich używają.

Z początkiem sierpnia przyjechał na wjeżdż do Sławska Jerzy Lerski, mój przyjaciel i rywal z gimnazjum, a teraz podporucznik artylerii przeciwlotniczej. Ojciec dyskutował z nim o armatach i jako stary artylerzysta stwierdził z satysfakcją, że w zasadzie armaty pozostały armatami.

Dziesiątego sierpnia odprowadziłem moją ukochaną, która wyjeżdżała do Warszawy. Wysiadłem w Stryju, żeby się spotkać z Horzycą (engagement), oraz fryzjerem (strzyżenie). Horzyca nie wniósł niczego nowego, natomiast fryzjer twierdził, że będzie wojna. Opierał swoje twierdzenie na dziwnym zjawisku, które i ja obserwowałem. Z wielkiej wysokości aż do poziomu może ośmiuset metrów spuszczala się chmura w kształcie węża, barwy brudno-żółtej i przechodziła na końcu w gruszkowaty balonik. Cały obraz na tle doskonale błękitnego nieba. Ludzie gromadzili się na ulicach i dyskutowali. Potem padł deszcz.

Wieczorem wracałem od Sławska na pomoście ostatniego wagonu. Tor trząskał pod kołami. Pomiedzy dwoma lasami z lewej i prawej, wysoko nad pociągiem przesunął się korytarz znowu pogodnego nieba. Postanowiłem zapamiętać tę chwilę, w której miałem pewność, że jeden etap życia kończy się nieodwołalnie. Pamiętam ją.

Około dwudziestego ojciec wrócił z Paryża, dokąd jeździł w jakiejś sprawie. Nie chciał nas zostawić samych w razie wojny, a ponadto pomimo wieku bardzo poważnie odnosił się do swojego udziału w nadchodzących wydarzeniach. Po obiedzie chętnie zastanawiał się nad tym, czy nadał się jeszcze do artylerii. Moje nieśmiałe insynuacje, że pewnie będzie w sądownictwie wojskowym, wyprowadzały go z równowagi.

II.

OSTATNIE DNI SIERPNI

Przez ostatnich kilka dni sierpnia starałem się nie myśleć o wojnie, jak nie staramy się myśleć o czekającej nas nieuchronnie wizycie u dentysty. Namówiłem znajomą, która studiowała w Szwecji, żeby jechała przez Niemcy — i rzeczywiście powiodło jej się. Poza tym byłem na diecie, bo bolała mnie wątroba i klula przy każdym szybszym kroku. Udawałem przed sobą, że lada dzień jęde do Warszawy. Tymczasem poszliśmy z matką i wujciem Milem, który właśnie przychodził do siebie po

ciężkim ataku anginy pectoris — do parku Stryjskiego. Była przepiękna pogoda i wskutek tego znajdowaliśmy się w optymistycznym nastroju. Jestem zawsze przeciwnikiem śmierci i katastrof, kiedy świeci słońce, a to, że katastrofy i śmierci zbyt często się zdarzają, uważam za jeden więcej dowód nieporządku w przyrodzie. Wujcio mający trochę o tym, że wojna rozejdzie się po kościach i na skutek odprężenia psychicznego, ludzie zaczną wydawać śmiało pieniądze, po czym nadejdzie era niebywałego rozkwitu gospodarczego. Słuchałem bez niechęci. Wróciłem tramwajem. Na tarasie kawiarni Georg'ia siedział ojciec z kilkoma aktorami. Kiwnął na mnie i powiedział, że mobilizacja jest ogłoszona. Uczułem niemiłe laskotanie w żołądku. Tym bardziej jednak ucpełem się myślą, że wojna w ostatniej chwili zostanie odwołana. Nie odwołał mnie od tego plakaty, które zakwitły na wszystkich wolnych miejscach w dwie godziny później.

Po paru godzinach przyzwyczailem się do nowej sytuacji. Ryś gotował się przyjemnie podniecony na radosną przygodę. Oczy mu błyszczały, był równocześnie w domu, na ulicy i u kolegów. Przypuszczam, że radowała go też perspektywa przerwy w nauce. Ojciec był poważny, ale też podniecony in plus. Podziwiałem ich odwagę, bo mimo wszystko okres ten przypominał mi najbardziej dzień przed operacją ślepej kieszki, z przed dwóch lat. Nigdy ów dzień nie stał mi tak żywo w pamięci, jak wtedy.

Nazajutrz poszliśmy z Rysiem do kina Apollo na wojenny film amerykański. Grała sławna para tancerzy Ginger Rogers i Fred Astaire, ale wcale, czy też prawie wcale nie tańczyli. Fred był lotnikiem i rzucał przez dziurę(?) w podłodze samolotu mańskie bombki na Niemców. Potem zginął w wypadku, a Ginger Rogers płakała.

Wiedziałem, że na placu Mariackim stoi tłum i śpiewa „Boże coś Polskę”. Nie zatrzymałem się, bo odczuwałem w tym coś katastrofalnego. Chorzy ludzie nie lubią pogrzebów.

Na Halickiej spotkałm Jerzyka. Na drugi dzień wyjeżdżał do pułku. Pytałem go, czy Lwów może być bombardowany, ale odpowie dział mi — z fachowym uśmiechem, że to za daleko dla Niemców. A potem rycząc ze śmiechu opowiadał, że Staś pojechał już dziś i martwił się tylko, co będzie, jeżeli jego koń z...ra się podczas deflady na Unter den Linden. Pożegnaliśmy się.

Na trzeci dzień po ogłoszeniu mobilizacji przez Akademię szło wojsko. Odechodziła lwowska czterdziestka. Szli piechotą obladowani i spoceni, jakby wojowali już od roku. Wołali o wodę, choć koszary, z których wyszli, odległe były o 15-cie minut marszu.

Pod „domem Sprechera” grupa studentów skandowała rytmicznie: „Do—wi—dże—nia w Ber—ja—nie!”.

Ojciec dał mi pieniądze na papierosy, wszyscy stali na balkonie, a ja rozdawałem papierosy żołnierzom na ulicy. W głowie miałem strzępy setek podobnych sytuacji z kina i lektury. Czulem się jak idiota, ale nikt chyba tego nie zauważył. Zwłaszcza żołnierze, którym rzeczywiście zależało na papierosach. To mnie dziwiło, bo przecież papierosów było jeszcze dużo. Zauważyłem kolegę z gimnazjum. Jako oficer jechał konno i pozdrawiał szabłą.

Wieczorem studenci przeciągali zaciemnioną ulicą śpiewając:

My Hitlera na szubienicę,
Na szubienicę,
Na szubienicę...

Była to ad hoc skonstruowana przeróbka piosenki, w której Hitler zajął miejsce Żydów.

III.

WOJNA

W piątek zbudziłem się wcześniej niż zwykle. O siódmej. Przez uchylone drzwi jadalni widać było resztę rodziny zebraną w pidżamach na środku pokoju. Uświadomiłem sobie, że zbudził mnie głośnie, który powtarzał monotonnym głosem litery i liczby, kończące się zawsze słowem „przeszedł”. Słowo było złowróżbne. Nie wiedziałem, co oznacza, ale ścisnęło mi serce. Zrozumiałem, że wojna wybuchła i już jej nie cofnię. Wsadziłem głowę pod poduszkę, próbowałem wyrzucić wojnę z głowy i spać jeszcze chwilę, jak gdyby trwał pokój. Nie udało się. — Poszliśmy z Rysiem na miasto, żeby kupić coś dla Bizia, który został w czwartek zmobilizowany. Na ulicach był ruch, wszyscy kłapowali. Dostałem ładną manierkę u Propsta po normalnej cenie. Uspokoilem się trochę i wmaślałem w siebie, że wojna może się skończyć do dwóch — trzech tygodni dzięki interwencji innych państw. Potem byliśmy u Zaleskiego na kawie. Siedzieli wszyscy znajomi, jak zawsze. W pewnej chwili dały się słyszeć motory samolotów. Przez okno wystawowe, nad dachami błyszczały przez mgiełkę oka maszyny w stronnym locie, jak srebrne motyle. Niektórzy słyszeli wybuchy, inni nie. Ja zawsze przewidywałem i obawiałem

się bombardowania — więc słyszałem. Ryś i Hela, żona Bizia, śmiali się ze mnie. „To ćwiczenia”. Po obiedzie wiadomo już było, że Niemcy zrzucili bomby koło dworca. Trafili w tramwaj, w kamienicę... Przejeżdżały taksówki z trupami i rannymi w środku na dachach. Niektórzy jeździli oglądać rozpruta kamienicę. Namawiał ktoś i mnie, ale nie miałem odwagi.

Na drugi dzień zbudziły nas wczesnym ranem syreny. Zeszliśmy do piwnicy. Zabrałem ze sobą „Żywoty pań swawolnych” i próbowałem czytać. Udawało mi się poza chwilami, kiedy motory warczały prosto nad głową. Słyszeliśmy kilka wybuchów — potem odwołanie. Pomyślałem z ulgą: „A więc to jest nalo. Nic więcej. Straszne, ale jeszcze do zniesienia”.

Wieczorem rozeszła się wiadomość o tym, że Francja wypowiedziała wojnę Niemcom. Na Długosza tłum śpiewał bez słów Marsyliankę, a poseł stał w oświetlonych od wnętrza drzwiach swojej willi. W mundurze i okrągłej, sztywnej czapce wyglądał jak Gary Cooper w filmie „Marokko”. Serce moje zalewało słodki entuzjazm, tym bardziej, że Niemcy po cieniu nie bombardowali i czulem się zupełnie bezpiecznie. Wracałem zaciemnionymi ulicami, podczas księżycowej ciepłej nocy. Ludzie wyroili się na ulice. Był nastrój, jak podczas próbnyc alarmów w Warszawie.

Na drugi dzień padał deszcz. Mgła i niskie chmury zasłaniały niebo. Niemcy nie przylecieli. Około dziesiątej głośnie przy ul. Akademickiej naprzeciwko domu zaczął ryczeć: „Good save the King!” — wybiegłem. Stałmym z odkrytymi głowami wokół czarnego potworka. Deszcz i lzy spływały po twarzach. — Potem poszliśmy z ojcem pod posełstwo. Słyszmy szybko w dużym tłumie. Wątroba kluta mnie za każdym krokiem. Śpiewaliśmy. Przemawiał poseł po angielsku, a pan Wixel stał obok niego i powtarzał wszystko po polsku. Ktoś krzyknął mi stąd mi zowad: „Niech żyje król Jerzy!”. Wszyscy zaczęli się śmiać.

Wieczorem na balkonie ojciec powiedział, że cokolwiek się stanie, to jednak my pierwsi porwalimy się na Niemców. Tak skończył się przyjemny dzień: pierwszy i ostatni, w którym nie było nalołów.

Potem życie uregulowało się na tydzień.

Około piątej rano naloł, — potem jeszcze do lóżka (zdemerowanie nie daje spać), o siódmej drugi naloł. Trzeci i czwarty około południa zastaje mnie zwykle na czarnej u Zaleskiego. Po południu zwykle tylko jeden naloł. Właściwie szkód bardzo mało. W śródmieście nie rzucają. Ale człowiek nie ma jeszcze żadnej skali ocen w tych sprawach i boi się zawsze tak samo.

Nie wierzę już w bardzo szybki koniec wojny. Piszę listy do Xenii, że przyjeździe do mnie tam, gdzie będą mnie szkolić i żyję tą myślą. Zgłosiliśmy się z Rysiem na ulicę Bombarda do Związku Oficerów Rezerwy, który reestruje i zatrudnia chętnych do pomocy wojsku. — Po wypełnieniu rubryk odesłali nas na Zybkiewicza do Żydowskiego Związku Oficerów. Wobec czego gwizdaliśmy na jeden związek i na drugi.

Na ulicy spotkałem matkę Jerzyka. Jest straszliwie zdemerowana. Jerzyk już w polu. A mąż (podpułkownik) lada chwila jedzie ze szpitalem. Podeszedł do nas znajomy. Emerytowany porucznik, którego suczka jest żoną naszego Dżokusia. W ferworze krzyczy, że wszyscy idą na front, tylko Żydzi zostali. (No i on też). Pani Soltysiakowa powiedziała: „Co pan plecie, przecież widzi pan, że prawie nikogo nie biorą”. „No tak — odpowiedział — a jednak...”.

Na ulicach i w kawiarniach coraz więcej znajomych z Krakowa i Warszawy. Przewijają się i znikają. Aktorka Nakoneczna trzy dni spaceruje na Akademickiej z elegancką maską gazową na ramieniu i też przemija. Kraków podobno wzięty. Wierzymy wszyscy w linię W'sły. Nie wierzymy komunikatom niemieckim. Niemcy twierdzą, że panują w powietrzu. Wzruszamy ramionami.

Słuchamy z napięciem instrukcji pułkownika Umiastowskiego: „Nie zrażajcie się przezwagą przeciwnika. Czolgaj i anta pancerne są ślepe z boku(?). Strzelajcie w otwory strzelnicze. Odpryski kul demoralizują, a czasem nawet zabijają przeciwnika”. — To brzmiało groźnie.

Przez trzy dni jakby się nic nie zmieniło na froncie. W sobotę wieczorem byliśmy z rodzicami na kolacji u Georg'ia. Mnóstwo ludzi. Nie ma orkiestry, tylko głośnie ryczy. W kącie siedzą dwaj lotnicy w eleganckich cudzoziemskich mundurach. Mamusia przypuszcza, że to angielska pomoc. W każdym razie są śmiertelnie zmęczeni i wieją także na południowy wschód. Zresztą polskich lotników, nie wiadomo czemu, też zawsze pełno u Georg'ia. W pewnej chwili koło stolika przechodził Hemar. Turwim wczoraj jeszcze przejeżdżał przez Lwów. Naraz muzyka się urywa: „General Michał Tokarzewski — Karaszewicz na czele brygady kawalerii wtargnął w Prusy Wschodnie na głębokość sześciu

kilometrów". Wszyscy wstają i klaszczą jak w teatrze, tylko z większą egzaltacją. My tak że.

Nazajutrz taksówek już nie ma. Przynajmniej po cenie osiągalnej dla zwykłego, nawet dość zamożnego śmiertelnika. Podobno Niemcy podchodzą pod Przemyśl. Uważamy to za nonsens.

Stryjek z Przemyśla uciekł już dwa dni temu z rodziną do Zaleszczyk, a może dalej. My sądziliśmy, że nie mamy prawa i czekałszy wciąż na powołanie, które nie nadeszło. Tym razem jednak odważyłem się wspomnieć o ucieczce. Z początku nikt nie odpowiedział. Rysiek nawet wzruszył ramionami. Ojciec spoirzał z troską na matkę, a potem bąknął, że i tak aut nie ma, a piechota...

W poniedziałek już bez rozmów było jasne, że „wychodzimy z miasta”. Przemyśl jednak mają Niemcy. Pożyczylem plecak od pani Sol tyszkowej. Rodzice zostają, bo dla matki wędrowka piechotą nie wchodzi w rachubę, a ojciec nawet nie dopuszcza dyskusji nad możliwością pójścia bez niej. Idzie za to jako trzeci Franek, starszy towarzysz wielu wakacji sławczańskich.

Ojciec dał nam po tysiącu złotych i kilka złotych dolarów. Schowaliśmy je w dwóch wo-

reczkach na szyi. Dał nam też swój rewolwer. Do obiadu wypiliśmy flaszkę wina i nie schodziliśmy na dół, nawet kiedy Niemcy rzucali bomby. Oczy mnie piekły z niewyspania, a nogi uginały się od przebiegania niezliczonych pięt. Potem siedzieliśmy długą, kłopotliwą chwilę w salonie. Odejść mieliśmy o zmroku i nie było już o czym mówić.

Ojciec krótko i twardo dał nam instrukcje, ale potem przeciągnął ręką po twarzy, tak, że nie można było na to patrzeć...

Poszliśmy na Romanowicza do Biziów, gdzie czekał Franek. Kolo piątej znów był na lot. Tym razem blisko. Na Jabłonowskich coś się zapaliło. Czerwone pociski artylerii przeciwniczej wypryskiwały z nad sąsiednich dachów. Zleciałem, jak szalony, po schodach w dół, aż mi potem było wstyd. Przeczekaliśmy w bramie. Obrona była dużo silniejsza, niż w pierwszym tygodniu. Zresztą niedobry znak. Cofająca się armia ścigała w stronę miasta wraz z artylerią. Po naloce przed bramą przejeżdża furmanka. Chłop obiecuje podwieźć rzeczy do Bóbrki. W jednej sekundzie interes jest ubity. Woźnica nie czekając na pożegnania — rusza. Ruszamy i my. Wędrowka się zaczęła.

Erwin Akser

WACŁAW POLKOWSKI

Polityka Watykanu wobec Polski i jej sąsiadów

„Przerosty Watykanizmu w Polsce miały jako skutek stały niedorożt znaczenia sprawy polskiej w watykańskim ośrodku dyspozycyjnym. Czy ich usunięcie z życia polskiego nie dałoby więc w skutku wzrostu wpływów polskich w kurii rzymskiej?...” kończy swój wstępny artykuł w Nr 12 „Odrodzenia” Jan Alfred Szczepański. Autor pozwolił uzupełnić swe słuszne wywody stwierdzeniem, że lekceważenie interesów Polski przez Watykan nie ogranicza się do polityki Piusa XII, ale poza nielicznymi wyjątkami dotyczy długiego okresu dziejów i znajduje swoje uzasadnienie w celach tej polityki, a tymi są: odzyskanie utraconych krajów protestanckich i nawrócenie do jedności z Rzymem schizmatyków. Beatyfikacja Tomasa Morusa, to oferta pod adresem imperium Wielkiej Brytanii. Serdeczna życzliwość wobec Niemiec, zapobiegliwa troska o zwiększenie stanu katolickiego posiadania w Niemczech, to zasadniczy wyraz tej polityki. Stąd nie tylko ten pośpiech w nominowaniu administratorów apostołskich na ziemiach polskich włączonych do Rzeszy w 1939 r. i 1940 r. ale zezwolenie klerowi niemieckiemu w 1919—1921 r. na swobodę agitacji na terenach plebiscytowych Śląska przy jednoczesnym zakazie agitacji wobec duchowieństwa polskiego. Każdy pamięta wyjazd polskich biskupów, Teodorowicza i Sapielhy, w tej sprawie do Rzymu i odnośną interpelację poselską w sejmie ustawodawczym. Odłączenie katolickiego Górnego Śląska od Rzeszy zmniejszyło liczbę katolików w Rzeszy, zmniejszyło siłę Centrum Katolickiego w parlamencie. Stąd też rady Watykanu udzielane Romanowi Dmowskiemu w 1916 r., aby Polska połączyła swe nadzieje ze zwycięstwem katolickiej Austrii, stąd milczenie Rzymu wobec Wrześni, wywaszczania w Wielkiej Polsce. Benedykt XIV zachęca Marię Teresę do jak najobszerniejszego zasięgu austriackiego pierwszego zaboru w 1772 r., aby uratować dusze katolickie od panowania luteran pruskich i schizmatyków Rosjan. Bolele rozżalony tą wieścią Stanisław Staszic i nie radzi emigrantom powstania kościuszkowskiego nadawać się do Rzymu.

Legitymistyczny wobec powstania polskiego w 1831 r. Rzym, nie chcący przyjąć nawet prywatnie Badeniego, posła rządu narodowego, wydaje bullę potępiającą powstanie katolickiej Polski przeciwko schizmatykowi carowi, na co Słowacki odpowiada w „Kordianie”. Ten sam Grzegorz XIV nie waha się pontyfikalnie przyjmować bawiącego incognito we Włoszech w r. 1847 Cara Mikołaja I. Serdecznie go ścisła i całuje, powiada, że na nich dwóch zwrócone są teraz oczy całego świata. Aby się nie naraził Carowi, Leon XIII milczał wobec prześladowań unitów na Chelmszczyźnie i Podlasiu i na tablicy kościoła Zmartwychwstańców w Rzymie nie umieszczał w wykazie narodów katolickich Polski, co niezmiernie oburzyło Marię Konopnicką i znalazło wyraz w jej utworze, wykletem przez Kościół.

Gdy jednak poza polityką Rzymu papieżkiego Polska odzyskuje niepodległość, Rzym niezwłocznie czyni z niej bramę wypadową katolicyzmowi przeciw prawosławiu i Rosji. Organizuje nowy katolicko-wschodni obrządek z hierarchią podległą wyłącznie samej Stolicy Apostolskiej z siedzibą w Pińsku, osiedla w Leśnej pod Baranowiczami spe-

cialnie wykwalifikowaną gałęź O. O. Jezuitów, naśladujących strojem, zachowaniem się duchownych prawosławnych. Miała to być kadra przyszłych apostołów nawracania Rosji na katolicyzm. Z punktu widzenia interesów państwa polskiego była to akcja szkodliwa, bo powiększała rozdział pomiędzy Polską a jej wschodnim sąsiadem, bo wywołała niepokój wśród polskich obywateli wyznania prawosławnego i unickiego.

Słusznie autor artykułu w „Odrodzeniu” powiada, że upokarzający i wasalski stosunek Polski do Rzymu nigdy nie wychodził nam na dobre. Historia przypomina, że, niestety, nie raz chcieliśmy być bardziej katolicki od papieża. Kiedy minister archydiekański króla Francji i książę kościół rzymski, kardynał Richelieu, nie wahał się pomagać w Niemczech w okresie wojny trzydziestoletniej przeciwko katolickiemu cesarzowi rzymsko-niemieckiemu, to u nas kardynał Zbigniew Oleśnicki przeciwdziała przyjęciu korony czeskiej przez Jagiellę lub Witolda i nie daje dostatecznej pomocy wyprawie Korybutowicza, bo koronę tę ofiarowują Husyci. A była to okazja do zjednoczenia Polski z Czechami.

Za to Rzym nakłania syna Jagiellę do niebezpiecznej wyprawy pod Warnę. Wychowanek Jezuitów Zygmunt III marunie przecież dwie okazy: unię Polski z Moskwą, nie udziela pomocy Czechom najechanym przez Niemcy, toleruje werbunek kozaków lisowczyków przeciwko powstańcom na Węgrzech, przez co ściga wojnę z Turcją, Cesare w 1620 r. i nierozegrany Chocim.

Dla całości obrazu trzeba zaznaczyć, jak często Rzym przychodził Polsce z pomocą i wyrażał swą dla niej życzliwość. Pierwsza pomoc to zezwolenie Sylwestra papieża na zorganizowanie niezależnego kościoła i jego hierarchii z arcybiskupem-prymasem gnieźnieńskim na czele, o co zabiegał Bolesław Chrobry, uzyskane po otrzymaniu zgody cesarza niemieckiego Ottona III, dalej to pomoc moralna i dyplomatyczna udzielona Lokietkowi przeciw Czechom, jak o czyta się przeciwpapieskiego wówczas obozu. Następnie Watykan zachęcał Batorego, Zygmunta III, nawet Władysława IV do wojny z Turcją. Papież zaplakał na wiadomość o śmierci Stefana: „Zaszło słońce w Izraelu” — to były jego słowa. W czasie wojny z kozakami Rzym nadesłał Janowi Kazimierzowi poświęcony miecz do walki ze schyzmą, a nie dawno nawet przysłał święcę św. Józefa, arcybiskupa połockiego i zwrócił relikwie świętych Stanisława Kostki i Jędrzeja Boholi.

Przerost watykanizmu w Polsce wynika między innymi z niedostatecznego odróżnienia spraw wiary, czyli dogmatów, oraz obrzędów i dyscypliny kościelnej od interesów ziemskich kurii watykańskiej; wynika z przeoczenia i niewyciągania wniosków z faktów historycznych na skutek niecałkowicie zgodnego z prawdą nauczania historii w szkołach, gdzie pewne rzeczy stanowiły niedotykalne tabu, wstydliwie omijane przez program oficjalny i nauczycielstwo. Jako przykład niechaj posłuży usunięcie postaci Bolesława Śmiałego, zresztą sprzymierzeńca Grzegorza VIII, z programów jędrzejowiczowskich.

Wacław Polkowski

ALFRED KRYGIER

Mitologia czy realizm

Święty krytyk literacki i wnikliwy publicysta Jan Kott, ogłosił w bardzo poczytnym krakowskim „Przekroju” artykuł pt. „Rozmowy i fakty”. Warto się nim zająć nieco dokładniej, zwłaszcza, że „Wasana głowa nie dla proporcji”. Kott odwiedził znajomego profesora Un. Jag., który mimo swe przekonania konserwatywne przyznał, iż „historię Polski trzeba napisać”, albowiem oficjalna nauka historii przemilcza działalność naszych rewolucyjnych ruchów wyzwolenia XIX. ośrodków emigracyjnych jak „Gromady Grudziądz”*) lub „Ludu Polskiego”. Rozmówca-profesor twierdzi, iż jesteśmy narodem nekrofilów, stawiając pomniki bohaterom klęsk, a nie zwycięzcom (Samosierra). Ten stosunek do bohaterów dowodzi, zdaniem profesora, braku realizmu politycznego, a nawet rozsądku. Profesor odczytał ob. Kottowi szereg ustępów z prac politycznych Szuskiego i Tarnowskiego, którzy po r. 1863 potępiali powstanie jako klęskę, „która dźwiga się z żalostí”. Znakomici stańczycy krakowscy usłuchali przestróg cara Aleksandra II wypowiedzianych jeszcze w r. 1856, iż nie należy mieć „żadnych złudzeń” i głosili po r. 1863 hasła „realizmu politycznego” gdyż „absolutną dzisiaj (tj. po r. 1863) słusność ma droga organicznego rozwoju narodowego”. Kott tak przejął się tymi wskazaniem politycznymi rzucającymi jednocześnie klątwę na „liberum conspiro”, na ówczesne pokolenie odnoszące się do koncepcji stańczyków z pogardą, że uznał ten realizm polityczny po r. 1863 za pewnego rodzaju credo polityczne dnia dzisiejszego. Czytamy bowiem w ustępie końcowym tego artykułu, iż „skończył się (dzisiaj — aut.) okres reform i przemian, że zdaniem Kotta „nadchodzą lata stabilizacji społecznej, gospodarczej i politycznej”.



rys. Mieczysław Piotrowski

Oto wynik rozmowy Kotta z profesorem uniwersytetu i aktualne hasła dnia, które głosi Kott jako wskazania na naszą najbliższą przyszłość. Trzeba znać pisma polityczne ugodowych realistów XIX w. a więc Szuskiego i Tarnowskiego, Spasowicza i Pika Jackowskiego i Marcinkowskiego — znać dzieje „Gromady Grudziądz” (a nie gromady „Grudziądz” — ob. korektorze) czy „Ludu Polskiego”. Bez tego nie można zrozumieć ideologii potępianych romantyków 1863 i Bolesława Limanowskiego i „Proletariatu”. Nie zrozumiałą będzie ideologia ruchu robotniczego dnia dzisiejszego i podstawa ideologiczna PPS („Niepodległość i Socjalizm”) dzisiaj już hezyczna w obu odłamach ruchu robotniczego. Oczywiście jest to „materia gravis” jako, że nasi poprzednicy i mistrzowie byli to ludzie „czuli, czujni i ochotni”. A któż to byli owi realistyczni przeciwnicy powstania r. 1863. Oczywiście przeciwnicy klasowi radykalnych ruchów wyzwolenia. Nie na tym tylko ich błąd polegał. Wystawiani przez profesora-konserwatystę i przez ob. Kotta realisci polityczni, to politycy aprobujący zabory, zwoleńcy zasady „nie sprzeciwiania się znu”, po r. 1863 potępiający już nie tylko każdy odruch buntu, ale każdą młodą i nową ideologię polityczną, myśliciel jedynie „jak ukolysać” dzięki w Polakach humorysty”. Ci Polacy, którzy mieli „humory” nie uważali hasła Al. Świętochowskiego za szczyt kunsztu politycznego. A pisałem wówczas, iż „los wytworzył przed nami szerokie pole podbojów przemysłowo-handlowych (r. 1863). Polacy „z humorami” protestowali wówczas przeciw grzebaniu Polski w ramach państw zaborczych, wolałi głośno by „nie deptać laurów, co na grobach wiedną” (Asnyk). A jednocześnie realisci przytykali oczy na „obruszenie”: modlili się tylko za Polskę, niezdolni do czynów i im niechętni, rzucając anateme z katedr profesorów i na łamach „Przeglądu Polskiego” w Krakowie czy „Kraju w Petersburgu” na nowinki z nad Newy i Genewy”.

„Oto jest, rzecz wiadoma, szczerym zwoleńnikiem reformy rolnej, a zapomina, że in-

*) Ob. korektorze nie gromada „Grudziądz”, jak pisze „Przekrój” a „Gromada Grudziądz”.

ny herold realizmu politycznego. Ludwik Górski pisał w tym czasie (r. 1880): „Mimo poniesione klęski, mimo warunki zmienione, dworek szlachecki jako ognisko polskości narodowej zawsze wyżej wystrzela ponad kominy fabryczne”. Zabory i dworek szlachecki i jego mieszkańcy — realistyczni politycy, dokonali wielkiego dzieła: przeprowadziliśmy reformę rolną w r. 1944-45 a nie — sto lat wcześniej.

Pokolenie nasze, rzecz zrozumiała, inaczej ocenia rolę i znaczenie powstań aniżeli im współcześni. Nasza ocena, jako wynik perspektywy historycznej, nie może być jednak apoteozą owych realistów politycznych, którymi zachwycać się może tylko konserwatywny profesor uniwersytetu nie Kott. Od anatemy na powstanie r. 1863 tylko krok do poglądów Romana Dmowskiego, uznającego powstanie to za dzieło Niemców, Żydów i masonów. A młodszy od Dmowskiego, K. M. Morawski i Giertych głosili jeszcze bardziej uproszczoną historiozofię, uznając każde niemal dzieło reformy lub nawet jej usłowanie za pracę pour le roi de Prusse, za dzieło żydowskie, słowem mówiąc stylem r. 1939 za żydokomunę. Wątpię, czy Kott zechciałby znaleźć się w tym towarzystwie.

Ta ocena powstania 1863 r. musiała doprowadzić konsekwentnie do poglądów „światła ćmiących” i do twierdzeń, iż dzisiaj skończył się „okres reform i przemian”. Wydaje mi się, iż w miarę jak biegają „pokolenia wypadków” zmienia się wszystko na świecie, że „okres reform i przemian” trwa i na świecie w Polsce bez przerwy. Inaczej musielibyśmy uznać np. Konstytucję 3 Maja za arcytwór i źródło natchnień dnia dzisiejszego. Czasem ten „okres reform i przemian” przechodzi spokojnie (v. Polska czasu 1944—46), czasem odbywa się w drodze rewolucyjnej, ale nigdy nie kończy się, jego fazy rozwojowe są tylko i inne i zmieniają. Mnie jako członkowi PPS wydaje się, iż okres ten dopiero się zaczął, iż jest wstępem do zupełnie innego porządku w Polsce. Nie pora i nie miejsce na prorocstwo, na oceny jaki przebieg będą miały dalsze dzieje Polski. Można mówić tylko o konturach. Przemiany dotychczasowe muszą doprowadzić do podniesienia dochodu społecznego i zmiany jego podziału. Inaczej nie będą ani przemianami ani reformami. Rzecz jasna, że sporne będzie zagadnienie, jakie drogi wiedzą do tego celu. Gdybyśmy uznali rzeczywistość dzisiejszą, za szczyt naszych dążeń, byłby to nie realizm polityczny, a przekreślenie naszej ideologii. Chcielibyśmy by świat wszedł w okres stabilizacji gospodarczej. Niestety nie trzeba być prorokiem, by stwierdzić, że droga do tego celu jest i żmudna i daleka.

Takie twierdzenia mają na celu chyba tylko usypianie podejrzliwości małego burgeois. Hasło „dobrobytu” bez ściślejszego określenia, także na łamach popularnego periodyku, co to jest dobrobyt w naszym pojęciu tj. ludzi walczących o uspołecznienie przemysłu unarodowionego, ludzi dla których reforma rolna nie jest parcelacją po zniżonych cenach i na dogodnie raty, to już nie „postępi reforma” a hasło Guérot — enrichissez vous w nowej edycji. Metoda ta jest bardzo zawodna i do celu nie doprowadzi, gdyż nawet August Bęc-Walski, bohater „Przekroju” i jego confreres nie pozbędą się podejrzliwości.

Na pozór taki światopogląd wydaje się bardzo realistyczny i szybko prowadzący do celu. Ale kogo ma ta historiozofia przekonać. Bardziej celową metodą uzyskania mas byłaby mitologia lub ściślej mówiąc kult mitu i wskazywanie na faktyczne możliwości jego realizacji w aktualnych warunkach. Musimy wskazywać (i udowadniać, iż „okres reform i przemian” dopiero się zaczął, że ta nasza „magna charta” tworzy nowy świat, nowe formy i warunki życia i w młot i na wsi. Być może, że Bęc-Walscy rozumieją że zwiększanie siła nabywczą ludności musi zwiększyć obroty i w ich sklepikach. Mniejsza jednak o Bęc-Walskich. Naszym zadaniem — popularyzacja hasła, iż istnieją realne warunki urzeczywistnienia tego, o co walczyły dwa pokolenia w Polsce.

„Ducha nie gaście” obywateli Kott.

Alfred Krygier

K. W. ZAWODZINSKI

Dyskusja o inteligencji (VII)

Socjologiczna typizacja a rzeczywisty skład inteligencji polskiej*)

Ciąży na mnie, jako na pierwszym, który zareagował na artykuł prof. Chałasińskiego, obowiązek uściślenia pewnych pojęć, ciągle powracających w zainicjowanej przezeń dyskusji. Jak większość bowiem sporów, tak i ten, żywość swą zawdzięcza nieścisłościom terminologicznym. Rzeczy oznaczone tym samym mianem za każdym razem inną treść zawierającym, są przedmiotem twierdzeń rozbieżnych ale słusznych w stosunku do każdorazowego znaczenia słowa, znaczenia nie identycznego nie tylko u każdego uczestnika dyskusji, ale, co gorzej, u tego samego autora w różnych fazach jego rozumowania.

Zabrałem głos ponieważ myślałem, jak mnie do tego tytuł pierwszego artykułu prof. Chałasińskiego upoważniał, że przedmiotem rozważań jest genealogia, rodowód, realne pochodzenie pewnej warstwy społecznej, to znaczy jej trzon i przyłączające się w ciągu okresu jej tworzenia składniki. Poprawka moja w tym względzie uzyskała aprobatę następnymi dyskusyjami i samego wreszcie prof. Chałasińskiego. Ale jemu, jak się dowiadujemy z drugiego jego artykułu, nie o to wcale chodziło: interesował go „społeczny typ inteligencji”, „inteligent jako wzór społeczno-obyczajowy”, jako „norma, wokół której grupują się indywidualia” (używając terminologii, (socjologia i historia kultury, Stefana Czarnowskiego).

Prawomocność takiego problemu, nasuwającego się zwłaszcza przy stwierdzeniu nie wyłącznie szlacheckiego rodowodu inteligencji, unoczniał mi z wielkim darem łagodnej perswazji świetny artykuł Spectatora (w „Kuźnicy” z 20.V.46); dlaczego więc, choć z krwią nie wyłącznie szlachecką, inteligencja nasza tak chętnie nakłada sygnety na palce? Ważna to sprawa, choć do jej rozstrzygnięcia nie przystępowałbym z założeniem prof. Chałasińskiego (w II artykule): „nie chodzi również na tym miejscu o to, czy ta socjologiczna konstrukcja jest najbardziej przybliżona do rzeczywistości i czy nie dałoby jej się przybliżyć jeszcze bardziej”. W niej jednak może nie zabierałbym głosu. Jeśli już jednak stało się, że zabrałem, to zwrócić uwagę, w związku z moją tendencją do młarkowania na cisku na swoistość naszego społeczeństwa jako typu socjologicznego, na to, że i gdzieś indziej znajdziemy przykłady stawiania społecznego typu szlachcica jako wzoru społeczno-obyczajowego. Tak, wiemy jaką rolę w obyczajowości anglo-saskiej odgrywa jako wzór „gentleman”, t. j. poprostu — „szlachcic”, w mieszczańskim rzekomo z pochodzenia, jeśli chodzi o reprezentatywną dla dzisiejszej kultury warstwę, społeczeństwo francuskim kultury wuje się tradycyjną drażliwość „point d'honneur”, gest wraz z przysłowiem „noblesse oblige”; każdy bankrut uważał do niedawna za stosowne „palić sobie mózg” z dniem ogłoszenia niewypłacalności, a dziennikarze i politycy trzeciej republiki krzyżowali szpady przy każdym zatargu nie mniej zwawo niż szlachta z czasów Ludwików. Jeśli już tu doszukiwać się różnic, to raczej można je znaleźć w tym, że nam tradycja przekazała nie szpady, a kobleryce i bizuny.

Ale to drobnotka; ważniejsza rzecz, na którą w tym związku choć zwrócić uwagę, jest to, iż przyjęcie wzorów szlacheckich w obyczajach, geście, sposobie tytułowania się, w społecznym indywidualizmie, „sobiepaństwie” ujawniającym się w ogonku do kasy kolejowej czy gdzie indziej — daje się zauważyć nie u samej inteligencji wyłącznie. Jeśli to jest przekłete dziedzictwo szlacheckie, trąd dziedziczny, który rozlał się szeroko, to nie od dzisiaj, i nie tylko przez domy moralistów był on wykrywany i wyśmiewany, właśnie „demokratyczność” tego obyczaju, rozpowszechnienie manier pańskich, tam gdzie najmniej wydają się być stosowne, śmieszyło od dawna naszych sąsiadów. Są to rzeczy tak powszechnie znane, dostępne obserwacji codziennej małowieszczństwa i ludu wiejskiego, że nie będą się nad nimi rozwodził; przypominałem je tylko jako cechę która nie stanowi swoistości naszej inteligencji pracującej; gdyż do tej warstwy nie należą ani „inteligentnie” ubrany fryzjer, popisujący się wykintem swych manier, ani perorujący o „inteligencji” typ z Wiecna, monitowany za pchanie się bez kolejki do wyjścia na peron; ani rozbijający się po szlachecku w bufecie kolejowym gospodarz spod Mogilnicy.

Kto więc do niej należy? A raczej, kto do niej, moim zdaniem, należał? Jaśniejsze wypowiedzenie się w tej kwestii stało się moim obowiązkiem z chwilą, gdy spotyka mnie z kilku stron zarzut bądź nieokreśloność, bądź nadmierne rozszerzanie, zwłaszcza w przekroju chronologicznym, zakresu warstwy zwanej „inteligencją”.

Dla otrzymania poprawnej definicji będę się starał nie oddalać od jednej jej zasady, za mniej poprawne uważając np. łączenie w jedną całość spostrzeżeń dwóch osobno wypowiadających się oponentów (w dodatku tak odmiennie sprawę ujmujących: St. Klenieciw od strony historycznej roli inteligencji istnienie tych cech w jednym człowieku.

składu) oraz stawianie na jednej płaszczyźnie tak różnych „elementów” jak cztery wymienione obok siebie przez prof. Chałasińskiego: obok cech zasadniczych dla każdej pracującej inteligencji są tam czyste miejscowe i akcydentalne lub nawet tylko domniemane.

A więc do rzeczy: właściciel ziemski, fabrykant, kamienicznik otrzymali najczęściej wykształcenie i należą do warstwy kulturalnej swego narodu. Administrowanie majątkiem, kierownictwo przedsiębiorstwem stanowią też pracę umysłową; można ją jednak rzucić na barki wynajętego specjalisty, korzystając z reszty dochodu po opłaceniu kierownika. Trudniej to zrobić wielkiemu kupcowi, ale jego praca, niewątpliwie „umysłowa”, wymaga nie tyle przygotowania w odpowiednich szkołach i ogólnej kultury umysłowej, co swoistego sprytu i, np. w Rosji, w niezbyt jeszcze odległych czasach widziało się prawie niepięmiennych chłopów dochodzących handlem do obrzecznych fortun, nie reprezentując jednak tym samym inteligencji rosyjskiej. Majster fabryczny może znać funkcjonowanie pewnej maszyny lepiej od inżyniera, i jego praca umysłowa jako kierownika danego działu produkcji być najcenniejszą, choć nie posiada podstaw do ogólnego objęcia konstrukcji maszyn czy całej gałęzi danej techniki. Ani więc sam cenzus naukowy, ani samo wykonywanie pracy umysłowej nie wystarcza do zaliczenia danej jednostki do szeregu inteligencji; dopiero współistnienie tych cech w jednym człowieku.

Tak więc tylko część warstwy kulturalnej danego narodu będziemy uważali za intelli-

gencję pracującą; nie wszystkich też pracowników, których praca zarobkowa nie jest pracą fizyczną. „Praca umysłowa jest zasadniczą podstawą utrzymania” członka inteligencji pracującej, ale zarazem jego ogólny poziom umysłowy czyni go współczesnym kultury jego czasu i narodu, świadomie i w oparciu o naukowe podstawy spełniającym swe obowiązki zawodowe. Znachor i lekarz np. spełniają tę samą pracę, znachor może nawet czasem szczerliwiej wywiązać się z zadania uleczenia chorego; ale lekarz wie dlaczego zastosował dane lekarstwo. Kapral może równie dobrze nauczyć jeździć konno rekruta jak oficer; ale oficer powinien rozumieć dlaczego żąda od ucznia takiego a nie innego doświadczenia. Inteligentny urzędnik świadomy swej roli w społeczeństwie potrafi załatwić petenta sprawliwiej i zgodniej z duchem ustaw, choćby nie znał tak dobrze obowiązujących formularzy i nie pamiętał tekstu zarządzeń, jak jego rutynowany, choć nie wykształcony kancelista.

Takie ujęcie składu inteligencji pracującej określa jednocześnie w przybliżeniu (że ścisłością możliwą w „humanistycznej”, jako wiedzy o człowieku i jego twórczości) historyczne granice jej istnienia. Sceptator w swoim doskonałym artykule przypisuje mi chęć przedłużenia rodowodu inteligencji w zamierzoną głąb wieków: „niepięmienni bar-dowie społeczeństw prymitywnych” mają być u mnie „szacownymi poprzednikami dzisiejszych powieściopisarzy, poetów czy nawet historyków”, a „nieumiejący czytać i pisać wodzowie średniowiecza... poprzednikami dzisiejszych sztabowców”. Niewątpliwie; ale wszyscy oni razem, łącznie z lekarzami z po-

między kapłanów świątyni Światowida i pełnomocnikami władcy plemiennego dla wymierzenia sprawliwości, zaspakajając swą działalnością nieodzowną na każdym stadium kultury popyt na pracę umysłową, nie stanowiły warstwy, odpowiadającej dzisiejszej warstwie pisarzy i lekarzy, adwokatów i oficerów. Warstwa ta mogła się zacząć formować wówczas, gdy powstało pojęcie „universitas litterarum”, rozszerzając się stopniowo. Choć włączeni do cechów murarzy, musieli przetrwać ich poziom przeciętny ci — często bezimienni — majstrzy, którzy projektowali i prowadzili budowę katedr gotyckich; trudno jednak nam osądzić ile w ich przygotowaniu było naukowego opanowania elementów matematyki i mechaniki, a ile odziedziczonej rutyny połączonej z instynktowną intuicją i wynalazczością doraźną genialnych jednostek, tym samym: czy łączył ich ze społeczeństwem klerków węzeł solidarności, którą zaobserwować można w dzisiejszej warstwie inteligencji.

W każdym razie gdzieś na progu ery nowożytnej, powiedzmy, u nas w Polsce w XVI w., już istnieje środowisko, w którym możemy bez nacłagania upatrywać zaczątkową formę naszej inteligencji pracującej. Istnienie jej, wcale realne znaczenie a nawet pewna samodzielna rola polityczna są już niewątpliwie w drugiej połowie XVIII w. Mieszczanie śniadeccy i Staszic, szlachta Węgierski i Zabłocki, „chudzi literaci” jak Karpiński i Książnik, przyjaciel jego lekarz Karpiński, publicysta w saturnie ks. Jezierski, wszystko to ludzie jednej warstwy, związani poczuciem solidarności i wspólnotą kultury. Co do tego, zgodność jest jak się zdaje zupełna wśród uczestników dyskusji, niezależnie od ich historiozoficznego stanowiska. A nikt z nich chyba nie myśli, że inteligencja zjawiała się od razu gotowa do działania jak jej patronka Minerwa z głowy Jowisza; przeciwnie, należy przypuścić, wobec niesprzyjających warunków rozwoju kultury w ciągu zwłaszcza drugiej połowy XVII i pierwszej XVIII w., że zalążki jej były już dość mocne, by tak bujnie się rozrosnąć w krótkich latach odrodzenia Stanisławowskiego, naszej „doby oświecenia”.

Drugim terminem, który jak się okazuje z II artykułu prof. Chałasińskiego wymaga uściślenia jest „kastowość”. Unocznia się tu bowiem jego dwuznaczność. Ja, milano-wicie zaprzeczając kastowości korpusu oficerskiego w Polsce, miałem na myśli (dość jasno zresztą wyrażonej) jego rekrutację nieograniczoną się do jednej kasty (szlacheckiej). Prof. Chałasiński podnosząc te moje twierdzenie, wysuwa w celu polemicznym cytata z Dzieł Księstwa Warszawskiego Skarbkę, charakteryzujący „kastowość stanu wojskowego”, zamknięcie się jego w ślepych postuszeństwie wodzowi, przecinającym wszelkie żywe związki uczuciowe ze społeczeństwem. Cytat nadzwyczaj interesujący, rzucający światło na najbardziej tej kasty ówczesnej charakterystyczną postać — Chłopickiego, który nie doznał się tak jak zasługuje na to ze względu na rolę historyczną monumentalnego ujęcia biograficznego; cytata interesujący też ze względu na nowsze analogie historyczne — ale nie nie mający wspólnego z dyskutowaną sprawą; to tak jak zaprzeczać, że jest „kolej” do otkienka, bo nie ma parowozu. Żeby wydatnie różnicę znaczeń w analogicznym wypadku, przytoczę taki szczegół: ze stosunków carskiej Rosji:

Korpus „oficerów floty” był najciślej kastowym pod względem rekrutacji, gdyż dostępny tylko dla szlachty dziedzicznej i mniej w tym względzie znający wyjątków niż korpus oficerów gwardii cesarskiej; ze względu jednak na wyższy poziom umysłowy, otarcie się w szerokim świecie podczas żeglugi zagranicznej może i ze względu na strój, bardziej zbliżony do cywilnego, niż mundur armii lądowej, był ideologicznie najmniej kastowy; z „oficerem floty” na pewno mógł się dogadać „inteligent” rosyjski, niż z przeciętnym oficerem piechoty liniowej, mimo dość daleko posuniętej wszechstanowości, jeśli chodzi o pochodzenie tego ostatniego.

Gra dwuznacznością nie wydaje mi się specjalnie korzystną dla wyjaśnienia dyskutowanej sprawy; ani przytaczanie słów wypowiedzianych przez któregoś z uczestników dyskusji przed dziesięć laty, w zupełnie innym kontekście warunków, myśli i celów, do których autor zmierzał. Ożywienie tradycji stanowych wśród ludności etnograficznie niepolińskiej w celu wzmożenia jej solidarności z polską kacją stanu, mogło się wówczas wydawać komuś myślą politycznie zdrową; ale samo nawoływanie do tego renesansu stanowości czyż nie jest dowodem (jeśli chodzi o interesującą nas dziś sprawę) ówczesnego już wygasania owej stanowości? A tym samym poparciem wysuniętego przeze mnie, wbrew bezwzględnej rutynie myślowej, punktu widzenia?

Cieszę się w każdym razie, że prof. Chałasiński nie wraca np. do swej konstrukcji o pochodzeniu biurokratyzmu galicyjskiego i że w ten sposób usunął definitywnie choć drobny kamyczek z drogi wiodącej do prawdy.

O TYCH, CO ZOSTAJĄ

Jak dotąd opracowania literackie dotyczące okresu wojny i okupacji noszą mniej lub więcej wyraźne cechy dzieł opartych o osobiste przeżycia autorów. Najdalej odbiega od tego typu autorka „Warszawy w ogniu”, w której to książce czytelnik nie łatwo odnajdzie postać obdarzoną przeżyciami i myślami pisarki. Rozdział je Szemplińska na całą grupę osób bo historii wojennych miesięcy 1939 roku ukazuje ona czytelnikowi poprzez losy pewnego środowiska, z którym przeróżnymi więzami złączona jest rodzina Wielgoszów. Ci Wielgoszowie, mały zespół złożony z męża, żony i dziecka, są głównymi bohaterami książki a ich otoczenie jest raczej grupą towarzyską, niż ściślejszym środowiskiem społecznym. Mamy tu bowiem i pracowników umysłowych i rzemieślników czy robotników. W ten sposób wprowadza Szemplińska swego czytelnika w „lud” stolicy, ciało równie złożone jak i jednolite w huragacie wrzesniowych wydarzeń. Tak główne jak i drugoplanowe postacie książki to „ludzie szarzy” — że użyję tego pospolitego ale wyraźnego określenia.

Różnie plotą się losy tych ludzi w czasach tragedii państwa i dramatu stolicy. Wykorzystuje tu różnorodność autorka by jak najszerszej ująć opisywany czas. W ten sposób ukazuje czytelnikowi i desperackie, heroiczne walki wojska z niewymierzalną przewagą napaścianika, beznadziejnie owcze „ucieczki” ludności cywilnej. Wreszcie zostawia Szemplińska te bożne ścieżki i staje w środku bronia-cej się Warszawy. Tematem centralnym książki jest ten właśnie epizod historii. W stolicy zostają Wielgoszowie i wraz z całą jej ludnością walczą na barykadach (jak Edward) i przechodzą całe piekło przeżyć jakie było udziałem ludności cywilnej (Jolanta). Po załamaniu się obrony niewygasła żądza walki pcha Wielgosza ku drogom, na których mogła będzie zapłonąć na nowo. Ulegając ogólnym prądom i niecierpliwości własnych pragnień natychmiast po rekonwalescencji z odniesionej w walkach rany ciągnie Edward żonę i dziecko na szlak emigracyjny. Bo na tej drodze jedynie widzi początkowo możliwość realizacji swych dążeń. I dopiero na moment przed przekroczeniem granicy pojmując Wielgosz swój obowiązek, znajduje swe miejsce. Zostaje w kraju. Wraca do Warszawy a raczej — co nie zmienia istoty rzeczy — na podwarszawskie osiedle. Chronologicznie ostatni a pierwszy kompozycyjnie rozdział książki pokazuje bohaterów w kontakcie z krystalizującym się ruchem podziemnym.

Zagadnienie: zostać, czy iść w świat w poszukiwaniu możliwości dalszej walki tak wyraźnie rozstrzygnięte przez Edwarda jest najistotniejszym problemem tej książki. W okresie z którego bierze temat Szemplińska, była to sprawa przeżywania i przetrwania przez wielu. Sprawa ważna, często najważniejsza. Pierwsze miesiące okupacji dawały spore mo-

żliwości emigracyjnym ruchom a powszechne sugestie pchały ludzi za granicę w dążeniu na drogę do niepodległości kraju. I trzeba było głębokiego zrozumienia potrzeb tego właśnie kraju, lub czujnego instynktu by nie ulec panującemu prądowi. By zostać w kraju. Tak, jak zostaje Wielgosz. Świadomie, celowo, mimo posiadania pełnych możliwości wychodźstwa. Doniosłość tej decyzji nie umniejsza wcale oczywista i zrozumiała niewyobrażalność warunków na jakie się skazywano. A mowa o nich już nieco pierwszy rozdział książki, którego tematem jest — między innymi — egzekucja wawerska. Koszmar okupacji był ceną, jaką płacił ci, co zostali za jasną i wyrażną opozycją w rzeczywistości, która miała nadzieję za kilka lat. Wtedy bez żadnych zgrzytów stanąć będą mogli do pokojowej, twórczej pracy. Nie czeka ich jałowe i odepłające błędnie po manowach wojskowej czy cywilnej emigracji. Zostając w kraju, Wielgosz wybrał najkrótszą drogę do niepodległej Polski. Najkrótszą, choć może najtrudniejszą, najryzykowniejszą. Bo tacy jak on nie będą czekać aż im szczęśliwy zwrot wypadków przyniesie wyzwolenie. Ile sił starczy pracować będą, a praca ta ważna i owocna pozostanie.

Wybór i jasne postawienie zasadniczego problemu książki świadczy nie tylko o czułości autorki wobec istotnych zagadnień jakie narastały w okresie powrzesniowym. Jest on poza tym dowodem głębokiego zrozumienia tej prawdy bezwzględnej, że główny nurt życia społeczeństwa płynie zawsze i jedynie w kraju. Wytworzone sytuacja bożne prądy muszą z obczyzny do głównego nurtu dotrzeć. W przeciwnym razie staną, zastygną i zarosną florą wód marnych.

Co do formalnej strony książki Szemplińskiej nasuwa się jedynie wątpliwość czy przesunięcie ostatniego chronologicznie rozdziału na początek jest dostatecznie umotywowane względami artystycznymi. Prawda, że konstrukcja ta umożliwia położenie mocnego — ostatniego — akcentu na problem zasadniczy. Z drugiej strony jednak przez przelamanie i sztucznie chronologicznie zestawienie toku narracji czytelnik jest dwukrotnie wprowadzany w medias res dość jeszcze odległych wątków. Łączą się one dopiero po przeczytaniu całości, więc może powstać potrzeba wrócenia do pierwszego rozdziału, który w czasie lektury zacięra się i pozostaje obok późniejszego biegu opowieści. Byłby to chyba niezamierzony przez autorkę efekt.

Reasumując: „Warszawa w ogniu” jest wartościowym zjawiskiem wydawniczym, pierwszą syntezą literacką wojennej już części roku 1939. Założona przez autorkę ograniczoność oglądanego środowiska nie ujmuje pracy walorów. Bo Szemplińska pisze o tych ludziach, co stanowili trzon społeczeństwa, pisze o tych co walczyli, a przygnieceni przemocą zostali; by dalej prowadzić walkę. Wszyscy inni grali w naszej, polskiej rzeczywistości lat wojennych, mniej lub więcej epizodyczne role.

Edward Szuster.

*) Por. „Kuźnica” Nr. 4, 12, 19, 20 21 z artykułami J. Chałasińskiego, K. W. Zawodzinskiego, A. Litwina, Spectatora, J. Chałasińskiego (2 i 3).

*) Elżbieta Szemplińska „Warszawa w ogniu” Spółdz. Wyd. Nowa Epoka, Warszawa 1946 r.

Książka o Anglii

KONSTANTY GRZYBOWSKI. *Demokracja angielska.* (Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”). Kraków, 1946. str. 104.

Pod różnorodnością form zewnętrznych zarysowała się jedna wyraźna linia rozwojowa swobód brytyjskich: od czasu gdy baronowie uzyskali od króla w roku 1215 Wielką Kartę Wolności przez siedem wieków rozwój odbywał się w oparciu o zasadę negacji w stosunku do władzy monarchicznej. Posuwając się naprzód według wytycznej „czego królowi nie wolno”, zrzucając kolejno więzy, jedne po drugich, osiągnięto ostatecznie punkt, na którym zatrzymał absolutyzm woli narodu. Król pozostał jedynie symbolem władzy, rząd stał się narzędziem woli mas obywatelskich, wyrażającej się poprzez parlament. Osiągnięto zdawało się, ideał swobód demokratycznych. Jednak po krótkich chwilach triumfu, zaczął się (u progu bieżącego stulecia) proces odwrotny: poczęto rozszerzać prerogatywy rządu (nie króla) w stosunku do jednostki i określać to, czego jednostce nie wolno. Zaczęto nakładać na nią ciężary i obowiązki, a zarazem przygotowywać grunt pod suprenację państwa nad narodem. Przyspieszenie tempa zdążającej w tym kierunku ewolucji stało się w pewnej chwili koniecznością dziejącą; gdyby nie dyktatorska, poniekąd, pełnia władzy Lloyd George'a w czasie pierwszej wojny światowej, wynik jej mógł być dla Anglii katastrofalny (wspomnieć należy chociażby, o zawieszeniu w stosunku do jednostki dawnego jej prawa do wolności od służby wojskowej). Ani zamknięta przez Lloyd George'a jeszcze przed pierwszą wojną światową polityka interwencji w zakres swobód obywatelskich w dziedzinie spraw przemysłowych, handlowych i agrarnych, ani ujawniona przez państwo wola rozbudowy ustawodawstwa społecznego nie uległy wstrzymaniu, mimo odejścia Lloyd George'a z widowni politycznej; dalszy ciąg rozwoju sytuacji wewnętrznej, szczególnie w czasie drugiej wojny światowej i w obecnym powojennym okresie, stanowi wymową ilustrację nie tylko żywotności, ale i wybitnego nasilenia tendencji, które się ujawniły przed laty czterdziestu.

Przesunięcie granicy między prawami jednostki a prawami państwa odbyło się tedy ku wybitnej korzyści tego ostatniego. Demokracja liberalna - kapitalistyczna zmuszona więc została do rezygnacji ze swego stanowiska na rzecz demokracji socjalnej. W ścisłym związku z wynikiem tych najwęższych przeobrażeń lansowana była obecnie w Anglii nowa nieznaną i nieużywaną dawniej terminologia: „Social Democracy” w odniesieniu do zasad wewnętrznych - politycznych obecnej partii rządzącej, a w przeciwstawieniu do „Tory Democracy”, reprezentowanej przez stronnictwo opozycyjne. Kwalifikuje się tedy dzisiejszą demokrację angielską za pomocą dwu różnych przymiotników, podczas gdy zawarty w rzeczowniku rdzeń idei pozostał niezmieniony.

Szkoda wielka, iż momenty prowadzące do tego epokowego zakreślenia w dziedzinie wewnętrznej polityki angielskiej nie znalazły należytego odzwierciedlenia w doskonałej skądinąd książce Konstantego Grzybowskiego. Wielka również szkoda, iż na te dane nam przez autora ciekawego obrazu rozwoju demokracji angielskiej niewidoczna jest prawie postać Lloyd George'a, tak dobrze znana Polakom od strony jego umiennej polityki zewnętrznej. Bardzo byłoby pożądane wyjaśnienie jego roli wewnątrz kraju, wyjaśnienie roli człowieka, który — mimo, że był filarem stronnictwa reprezentującego myślenie liberalno kapitalistyczne — nie tylko przez konserwatywizm, ale nawet przez pewną grupę członków własnej partii okrzyknięty został w swoim czasie jako „bolszewik”. Pozorne antynomie i paradoksy jego polityki wewnętrznej zasługiwałyby na obszerniejsze wyjaśnienie, jako ciekawy objaw brytyjskiej mentalności.

W swym omówieniu wspomnianej powyżej książki, prof. J. Chalasiński wytknął jej autorowi („Myśl Współczesna” Nr. 1) pominięcie samorządu lokalnego, twierdząc, iż „duża” demokracja angielskiej nie wyraża się w samym ustroju państwowym, lecz właśnie we współistnieniu aparatu państwowego i lokalnego samorządu. Aby zilustrować stopień znaczenia takiego elementu, jakim jest w Anglii samorząd, do słów prof. Chalasińskiego można by dodać, że na najniższych szczeblach angielskiej maszyny ustrojowej nawet o „współistnieniu” mowy być nie może; na owoch bowiem szczeblach czynnik państwowym w ogóle nie istnieje, nawet w sensie kontroli z góry idącej, nawet w sensie instancji, do której można by się w danym razie odwołać (chyba z wyjątkiem tej części sił zbrojnych, która nazywa się „armią terytorialną”, a która utrzymywana jest przez samorządy — rzecz nie do pomyślenia w żadnym innym kraju —, która jednak pod względem hierarchicznym uzależniona być musi od wyższych wojskowo - państwowych czynników).

Z kwestią samorządu wiąże się blisko kwestia szkolnictwa: i to zostało w książce pominięte. Z drugiej znowu strony, szkolnictwo ma inne powiązania, ich przykładem niechaj

będzie, pośród wielu innych szczegółów, znamienny fakt udowodnionego paralelizmu między wzrostem członkostwa Związków Zawodowych a frekwencją w pewnych nowszych typach szkół średnich (C.A.N. Lowndes, „The Silent Social Revolution”).

Twierdzenie autora, że „akcent społeczny i akcent laicki, świecki, zdają się być drogą, po której idą zmiany w angielskim ujęciu zasady wolności”, zawiera w sobie pewną, bardzo ciekawą prawdę o Anglii. Twierdzenie to może wywołać zarzut braku uzasadnienia ze względu na fakt, iż nie widać w Anglii symptomów postępującej sekularyzacji państwa; iż nawet w szkolnictwie, i to na podstawie najnowszej ustawy z r. 1944, „obowiązującej codziennie, wspólna modlitwa wszystkich uczniów i nauczycieli” (zarzut prof. Chalasińskiego, ib.). Z polskiego punktu widzenia trudno rozstrzygnąć, czy prof. Grzybowski, podkreślając „laicki, świecki” charakter angielskiej idei demokratycznej, ma za sobą rację, czy też racji nie ma. Z punktu widzenia angielskiego, twierdzenie jego jest najzupełniej zgodne z faktycznym stanem rzeczy w dniu obecnym. Przede wszystkim zaznaczyć należy, iż powyższa cytata z „Education Bill” z r. 1944 nabiera zupełnie innej treści w związku z dalszym ciągiem jego tekstu; w przeciwieństwie bowiem do praktyk dawniejszych nauczanie religii w szkole ma obecnie charakter ponadwyznaniowy, ogólnochrześcijański, a więc odbywa się w oderwaniu od dogmatów i rytuałów, różniących wyznanie i będących źródłem antagonizmów religijnych. W sposób zasadniczy i nie uznający wyjątków dla żadnego typu zreorganizowanych szkół angielskich, wykluczona została t. zw. „indoctrination”, tj. katechizacja w zależności od poszczególnych doktryn wyznaniowych. Stworzywszy tą drogą wspólny mianownik, łączy wyznawców katolizującego odłamu angielskiego kościoła państwowego, zarówno z wyznawcami skrajnych, poza nawiasem religii państwowej stojących sekt protestanckich, jak i z wyznawcami religii rzymsko-katolickiej. Zasada tego rodzaju koncyliacji religijnej w szkolnictwie sięga częściowo jeszcze r. 1870, kiedy to w szeregu szkół, przede wszystkim z t. zw. „Board Schools” (nie Boarding Schools) wyznaniowe nauczanie religii zostało wykluczone. Zasada owa objęła obecnie, na podstawie ustawy z r. 1944, całe szkolnictwo angielskie bez wyjątku. Równouprawienie wyznań, przeprowadzone w najpełniejszym znaczeniu tego słowa, jest jednym ze znamienitych i swoistych objawów demokracji społeczeństwa w dziedzinie religii. Są to objawy trudne czasami do zrozumienia dla obcokrajowca, podobnie jak trudne do zrozumienia jest stanowisko religijne króla, który jest głową państwowego kościoła angielskiego, a równocześnie bierze udział, także w charakterze „głowy”, osobiście lub przez swego anglikańskiego zastępcę, w posiedzeniach „Generalnego Synodu”, najwyższej instancji religijnej narodowego kościoła szkockiego; nie trzeba dodawać, iż szkocki, kalwiński prezbiterianizm i katolicyzujący anglikanizm są sobie biegunowo przeciwne zarówno pod względem doktryny, jak i rytuału. Przechodząc granicę szkocką, automatycznie i teoretycznie zmienia król swe wyznanie; wracając do Anglii, zmienia je ponownie.

I jeszcze jedno podnieść można jeśli chodzi o związek między religią a ideą demokratyczną w Anglii. Treść Biblii w bardzo wysokim stopniu przyczyniła się do kształtowania duszy angielskiej. A jednym z wyników czytania Biblii jest wiara w równość ludzi wobec Boga. Stąd nierozłączne kojarzenie nauki biblijnej z rozwojem myśli demokratycznej, począwszy od Wycliffa, poprzez Cromwella, aż po dzień dzisiejszy. Zbyt głębokie koleiny wyłożył sobie w duszy angielskiej ten sposób myślenia i zbyt donośnie brzmią w niej głosy chórów stuleci, ażeby można wyobrazić sobie tak radykalną sekularyzację państwa i laicyzację szkoły w Anglii, jak to miało miejsce w niektórych innych państwach. Ale też, równocześnie, nie można sobie wyobrazić takiego absolutyzmu religii państwowej i takiej nietolerancji, jakie tam oddawna przeszły w sferę wspomnianych historycznych, a jakie gdzieś indziej albo nadal trwają, albo też, mimo że oficjalnie utracone, czają się uporczywie w umysłach ludzkich, jako przedmiot możliwej i bliskiej restytucji.

Trudno niektóre z powyżej ukazanych braków omawianej książki zapisać bezwzględnie na jej debet. Mogą być one pojęte jako odrębny kompleks zagadnień. Wartość informacji podanych przez autora czytelnikowi polskiemu nie ulega wątpliwości. Są to informacje celowe, być może ograniczone do ram krótkiego wykładu o powstaniu angielskiego aparatu i jego mechanizmie. Być może to, co prof. Chalasiński nazywa „duszą” demokracji angielskiej, a co stanowi zespół innych, do pewnego stopnia „metafizycznych” problemów, dalałoby się umieścić w „imie”, nie mniej ciekawej, przez tegoż samego autora napisanej książce. W każdym razie ten zbiór już sam w sobie stanowi cenną i pożyteczną pozycję w polskiej publicystyce powojennej.

Tadeusz Grzebleniowski

Biblioteczka nauczyciela demokracji

Czesław Wycech: *Podstawowe zagadnienia pracy społeczno - wychowawczej szkół.* Warszawa 1946. Str. 27.

Dr. Zanna Kormanowa: *Reforma szkolnictwa w Anglii i we Francji.* W-wa 1946. Str. 72.

Pamięci Witolda Wyspiańskiego. W-wa. 1946. Str. 51.

Sprawie trzeciej podstawowej reformy poświęcone są te trzy pierwsze numery Biblioteczki. Reforma systemu szkolnego stała się zagadnieniem dyskusyjnym gorąco i z niepokojem na całym świecie. Niepokój zrozumiałym wobec prostego faktu: wojna pokazała ludziom do jakich potworności są zdolni. Trzeba więc usunąć źródła nienawiści i krzywdy, trzeba stworzyć społeczno - gospodarcze warunki nowej postawy człowieka wobec człowieka i równolegle zreformować system kształcenia i wychowywania, dać ludziom wiedzę, podjąć korzenie zła rodzącego się z niewiedzy, przesądów i uprzedzeń. W Polsce, która musi w tej dziedzinie wyrównać wiele dziejowych zaniedbań i społecznej krzywdy dzieci warstw ekonomicznie najsłabszych, sprawa reformy szkolnictwa, prócz tej ludzkiej perspektywy wiąże się ściśle z naszą nową sytuacją polityczną, gospodarczą i kulturalną.

Referat Min. Oświaty Czesława Wycecha wygłoszony na Zjeździe Pedagogicznym ZNP w Łodzi (stanowiący treść I-go nr-u) daje zasadniczą i śmiałą charakterystykę warunków społeczno - politycznych, pod kątem widzenia których powinna się kształtować praca szkoły w odrodzonej Polsce. Stwierdziwszy zależność szkoły od struktury społeczno - gospodarczej Autor w trzech punktach charakteryzuje wady ustroju kapitalistycznego. Produkcja dla zysku jednostek nie zaś dla potrzeb ogółu; bezplanowość i chaos gospodarczy wywołujący bezrobocie lub nadprodukcję, niesprawiedliwy podział dochodu społecznego, istnienie warstw wyzyskiwanych — uniemożliwiająca współzycie i współpracę ogółu obywateli a zatem przekreślająca zasady moralności i wszelką pracę wychowawczą. Następnie Autor przedstawia „powojenne drogi Polski”, przesunięcie państwa na zachód i wynikające z tego faktu konsekwencje. Są one nie tylko natury społeczno - gospodarczej lecz i politycznej. „Zdajemy sobie dokładnie sprawę z faktu, że naród niemiecki odrodzi się kiedyś gospodarczo i politycznie i rozpocznie z nami walkę o ziemię zachodnią”. Walka ta jest sprawą naszego „być albo nie być” i w niej nie możemy liczyć na pomoc państw zachodnich. „Rece Anglików są za krótkie by osiągnąć Wisłę” i tylko sojusz ze Związkiem Radzieckim jest jedyną realną gwarancją naszego bytu państwowego. Trzecia cecha nowej polskiej rzeczywistości, to przebudowa ustroju, której wyrazem jest reforma rolna i nacjonalizacja przemysłu. W konsekwencji tych reform zmienia się uwarunkowanie narodu, chłop i robotnicy wysuwają się na czoło życia politycznego i kulturalnego. Nowa sytuacja polityczna, zmieniła strukturę społeczno-gospodarczą, społeczno - kulturalną właściwości i potrzeby warstw pracujących określają nową sytuację szkoły, jej zadania i organizację.

Z troski o reformę szkolną powstała broszura Zanny Kormanowej. „Możliwie najszybczo wyhodowanie pełnowartościowej robotnicy - chłopskiej inteligencji — oto cel reformy systemu kształcenia, reformy zmierzającej do likwidacji przywileju oświatowego, do udostępnienia możliwie najwyższego poziomu wykształcenia wszystkim obywatelom państwa polskiego”. Określiwszy tak cele dyskusyjnej reformy autorka pragnie rozszerzyć podstawy dyskusji i „skalę porównawczą” przez zreferowanie projektów i prac przeprowadzanych nad reformą szkolną we Francji i w Anglii.

„Z dwu źródeł, z kleski okupacji i „wichyrmu”, z zachwiania imperialistycznego potencjału Francji, i ze zdrowego twórczego pędu milionów Francuzów do zakładania fundamentów demokracji ludowej wywodzi się francuska reforma wychowania i kształcenia”. Specjalna komisja skupiająca elitę uczonych pod przewodnictwem prof. Langevina opracowała plany tej reformy. Autorka daje szeroką charakterystykę francuskiego szkolnictwa i jego niedomagań wynikających zarówno ze struktury ludnościowej jak i tradycyjnych poglądów na zadania szkoły, oraz szkicuje zarys projektów wysuwanych przez wspomnianą komisję. Nie jest to zamierzeniem streszczenia wywodów Autorki, gdyż uważam, że każdy interesujący się sprawą przyszłości naszej kultury powinien przeczytać broszurę Biblioteczki, choć tylko wskazać na niektóre założenia tych reform. Szkoła francuska z tradycji nastawiona intelektualistycznie, kształciła nieliczną elitę rządzącą. Zasadniczą myśl kształcenia elit pozostaje nadal, chodzi tylko o rozszerzenie podstaw rekrutacji, podniesienie ogólnego poziomu i dostarczenie twórczych kulturalnie elit wszystkim dziedzinom życia. Pozostaje tendencja racjonalistyczna w wykształceniu naukowym, lecz równocześnie podkreślona zostaje konieczność rozwinięcia

pełnej osobowości ucznia na miejscu dawniej wybitnie uprzywilejowanej osobowości poznańczej. Równoległe z tymi założeniami kształcenia wysunięto zasady upowszechnienia szkoły średniej i demokratyzacji szkół wyższych. „Nowoczesne, aktywne i zindywidualizowane metody, szeroko pomyślane poradnictwo, podniesienie poziomu kształcenia nauczycieli, przebudowa programów nauczania i nowe treści wychowawcze mają wspomóc nową szkołę francuską i kształtować wszechstronnie człowieka, — jego osobowość według pełni uzdolnień, jego oblicze społeczne według potrzeb demokratycznego państwa”.

Reforma wychowania w Anglii stoi tam w jednym szeregu ze wszystkimi dokonywanymi się przemianami wywołanymi wojną. Anglia przebudowuje klasyczny styl polityczny, społeczny i kulturalny, lecz Anglia nie rezygnuje ze swojego stanowiska w świecie. Celem reformy angielskiej jest — zdaniem Autorki — wychowanie człowieka dostosowanego do zmiennej sytuacji światowej i zdolnego odbudować i utrwalić na nowo zachwiane pozycje Imperium. Zgodnie z tradycjami angielskimi szkoła angielska podkreśla: kształcenie fizyczne, kształcenie charakteru, kształcenie umiejętności jasnego myślenia i jasnego formułowania myśli w dobrej angielszczyźnie. „W Anglii oceniano się zawsze człowieka według jego czynów i możliwości realnych, nie według pozorów popartych chociażby przez świadectwo i dokumenty”. I nowa reforma kładzie wielki nacisk na rozwój charakteru i woli. „Mocny charakter, jasna głowa, czynna postawa obywatelska i zdrowe dobrze wyżywione ciało, — oto walory, które ma wnieść do życia młodzież angielska, by stanąć do walki o restytucję prymatu światowego Anglii”.

W zakończeniu swoich rozważań autorka wyciąga wnioski odnośnie sprawy reformy szkolnictwa w Polsce. Reforma szkoły została gospodarczo umożliwiona nacjonalizacją przemysłu i reformą rolną, gdyż skierowany do kas państwowych strumień nadwartości dostarczy środków pokrycia kosztów przeprowadzenia reformy szkolnej. Drugim warunkiem i zarazem zadaniem reformy szkolnictwa jest utrwalenie sojuszu robotniczo-chłopskiego, warstw skupiających 85 proc. narodu, sojuszu gwarantującego byt i rozwój demokracji.

Trzecia broszura, poświęcona pamięci Witolda Wyspiańskiego, stawia czytelnikowi przed oczyma postać nauczyciela bojownika o prawa człowieka, idealisty i społecznika. Oprócz pięciu przemówień i wspomnień poświęconych Zmarłemu, broszura przynosi jego rozprawkę p.t. „O demokratyczne fundamenty szkoły polskiej”. Autor stara się wskazać istotne cechy demokracji i wynikające z nich zadania wychowania. „Montesquieu powiedział, że podstawą demokracji jest CNOTA, że ta ma być lwią przewodnią życia politycznego ludu i jego przedstawiciel”. A więc warunkiem szerszej demokracji jest stare wychowanie, rozwijające cnoty potrzebne do harmonijnego współzycia. Człowiek nie posiada tak rozwiniętego instynktu społecznego jak pszczoły i musi być wychowywany do życia w społeczeństwie. Podstawowymi zasadami wychowania są: zasada wolności i zasada życzliwości wzajemnej. „Demokracja musi przyświecać ideał człowieka dobrego, mądrego, inteligentnego, wrażliwego, żywotnego i odważnego. Takimi ludźmi można rządzić w sposób demokratyczny, demokratyczne ustroje na takich ludziach oparte będą trwałe”. „Umęczona ludzkość popełniłaby najcięższy błąd, gdyby nie wycofała nauki z obecnej rzeczywistości i nie przystąpiła do przebudowy świata. Tę zaś należy rozpocząć na terenie wychowania. Przebudowa szkoły musi iść w parze z przebudową ustroju społecznego w duchu zasad życzliwości i prawdy”.

Wszystkie broszury są niesłychanie aktualne, potrzebne i pożyteczne. Jednakże na ich marginesie nasuwa się jedna uwaga dotycząca niesłychanej wieloznaczności słowa „wychowanie”. Pod tę nazwę podporządkowuje się fakty o bardzo zróżnicowanych funkcjach i znaczeniach społecznych. Stąd płynie wiele urojeń dotyczących znaczenia szkoły. Zwłaszcza w rozprawce Wyspiańskiego występuje szczególnie wyraźnie pomieszanie wychowania jako samorządnego procesu wrastania w zbiorowość ludzką z wychowaniem jako systemem refleksyjnego oddziaływania. Stwierdzona donośność pierwszego procesu zostaje przeniesiona na drugi, zupełnie bezpodstawnie. Z tego pomieszania wyrasta przypisywanie szkole decydującego znaczenia i wiara, że szkoła może urabiać ludzi według „detałów ustanowionych jako cel refleksyjnego oddziaływania. Ze sprawa nie jest tak prosta, to wykazał dobrze Chalasiński w referacie na zjeździe łódzkim.”

Jan Szczepański

* * * Patrz Józef Chalasiński: „Socjologiczne założenia reformy wychowania”, „Myśl Współczesna” nr. 1.

PRZEGLĄD PRASY

Istniejące dotychczas periodyczne wydawnictwa katolickie, przeważnie tygodniki, prowadząc „doczesną” walkę kulturalną i polityczną z obozem lewicy, zaniedbały niestety całkowicie lub prawie całkowicie poważny i solidny wykład światopoglądu katolickiego. Rzadko ukazujące się w „Tygodniku Powszechnym” i budzące zainteresowanie nie tylko katolików, artykuły ks. Michałskiego ustąpiły ostatnio całkowicie miejsca kolumnom, które redakcja „Tygodnika Powszechnego” zapelnia przedrukami dokumentów, mających świadczyć o progresywnej społecznie i przyjaznej wobec demokracji działalności Piusa XII. Autor przeglądu prasy „Odrodzenia” wykazał przy pomocy porównania tekstów „Tygodnika Powszechnego” i „Tygodnika Warszawskiego”, że właśnie w świetle dokumentów działalność ta nie wyglądała bynajmniej tak, jakby to zamierzała nam sugerować redakcja „Tygodnika Powszechnego”. Dlatego też dalsze omawianie tej sprawy wydaje się nam mało celowe.

„Tygodnik Warszawski”, którego cotygodniowe numery śledzimy pilnie, ostatnio wyjął zupełnie. Kolejne numery tego pisma nie przyniosły nam nic, co moglibyśmy zapisać na konto rozwoju katolickiej myśli w Polsce.

„Dziś i Jutro” zwłaszcza w cyklu artykułów Bienkowskiego „Polskie biedy” stara się raczej zdefiniować postawę pewnej grupy katolickiej na dziś, w obliczu konkretnych przemian społecznych i daje przynajmniej dowody, że jako ośrodek myśli katolickiej przemiany te dostrzega i zdaje sobie sprawę z tego, że katolicy, jeśli ideologia ich nie ma skostnieć, muszą się z tymi przemianami poważnie liczyć. Dzięki temu cotygodniowa lektura tego pisma jest znacznie bardziej pouczająca i budzi większe zainteresowanie niż lektura dwóch poprzednio wymienionych tygodników katolickich.

W tym stanie rzeczy, gdy teoretyczny poziom czasopism katolickich nie jest bynajmniej rewelacyjny, a literacki poważnie odbiega częstokroć od granicy poprawności, że zrozumieliśmy zainteresowaniem przyjęliśmy zapowiedź ukazania się miesięcznika „Znak”. Pierwszy numer tego pisma budzi w pewnym stopniu rozczarowanie czytelnika. „Znak”, zgodnie z wstępnym artykułem redakcyjnym jest pismem grupującym aktywistów ideologii katolickiej: „podejmujemy wydawanie „Znaku” z wolą czynnego współuczestnictwa w tworzeniu nowej rzeczywistości, z jasno nakreśloną linią programową”. Słusznie też podkreśla redakcja, że uznawać będzie nieodwracalność reform społecznych, dokonywanych w Polsce — pisze redakcja. Przyjrzyjmy się zatem co nam przynosi autorzy artykułów zamieszczonych w pierwszym numerze tego najbardziej reprezentatywnego dla katolickiego pisma irodowiska.

W swoim pięknie napisanym i wszechstronnie udokumentowanym artykule „Dokąd idziemy”, wybitny uczonej katolickiej, ks. Konstanty Michałski, rozstrzyga kwestię o konieczności budowania światopoglądu na eschatologii czyli „myśli o rzeczach ostatecznych”. Stwierdzając głęboki optymizm jaki rodzi się z idei „około których układa się tomistyczna filozofia”, autor w zakończeniu skreśla na tory konkretne i wyraża obawy, że ateizm znuży człowieka, że nie może stać się motorem ludzkiej aktywności. „Niech nam nikt nie wmawia — czytamy — że wielkie rzesze robotnika i chłopów w naszym kraju od Boga odchodzą, zapisując się pod znak ateizmu. Nie, ateizm rychło nudzi, męczy i zabija ludzką twórczość. Boimy się ateizmu w jego pierwszym rozmachu, ale nie boimy się go na dalszą drogę, bo nudzi i zmęczy i do siebie zniechęci. Gorszym jest to, że pod-

cina twórcze siły w społeczeństwie. Kto chce na to dowodu, niech wniknie w wielkie laboratorium społeczne... i niech się przypatrzy ateizmowi buddyjskiemu, niech się przypatrzy, jak człowieka znużył, jak go zmęczył i do ukochania bezwładu doprowadził”. Ceniąc wysoce autorytet znakomitego uczonego pozwolimy sobie w tym miejscu na krótkie rozważania. Otóż nikt przedewszystkim nie skłania „szerokich mas robotnika i chłopów” w naszym kraju do zapisywania się pod znak ateizmu.

Jak nam wiadomo nikt w Polsce obecnie tego rodzaju propagandy nie prowadzi.

Posunięcia mające na celu odseparowanie kościoła od państwa nie są podjęte chęcią szerzenia bezbożnictwa, lecz jedynie zamiarem uregulowania stosunków między władzą duchowną i świecką, w myśl zasady: Bogu co boskie, cesarzowi co cesarskie.

Ta zasada wprowadzona przed laty w przodujących kulturalnie państwach Zachodu daje np. we Francji rezultaty znakomite. Nikt nie zaprzeczy, że poziom ideowy i teoretyczna podbudowa katolicyzmu francuskiego jest o wiele wyższa, niż u nas. Wystarczy zresztą przejrzyć kilka miesięczników katolickich francuskich („Esprit”) i polskich, by natychmiast zorientować się w tej przysłowiowej różnicy. To jedna sprawa. Druga natomiast — to słuszność wysuniętej przez ks. Michałskiego tezy, dotyczącej kosztowności i obumierania tych kultur i tych społeczeństw, które opierają się na nie-fideistycznej koncepcji świata. Prawda historii brzmi nieco inaczej: wystarczy przyjrzeć się dawnemu społeczeństwu żydowskiego ghetta, którego nikt o „ateizm” pościć nie może, którego członkowie większą i lepszą część swego życia poświęcili na głębokie teologiczne studia, a potem zapoznali się ze świecką nauką i koncepcją żydowskiego życia w Palestynie, by stwierdzić, które z tych społeczeństw obumiera i czy to „ateizm zabija ludzką twórczość”. Przykłady te można by mnożyć w nieskończoność cytując na przykład całe epoki z historii świata. Czy to ateizm dziewniactwa mieszczaństwa ma być przykładem znużenia? Jeśli mieszczaństwo w swoim rozwoju późniejszym zarzebywało nieraz własne zdobycze, to przecież podejmowały je na nowo i rozwijały te właśnie klasy, które wychowywały się na światopoglądzie materialistycznym. I jeśli na Zachodzie i u nas obserwujemy coraz większą i coraz głębszą solidarność intelektualistów z tymi właśnie ruchami, które przeciwstawiają się idealistycznej koncepcji świata, to najmniej dopatrywać się w tym można, by to co ks. Michałski nazywa ateizmem, a co w istocie rzeczy sięga głębiej, niósłoby społeczeństwu bezwład, znużenie i śmierć.

Dzieje chłopów pańszczyźnianych mówią, że bezwład, letarg kulturalny jest rezultatem społecznego ucisku i ustroju opartego na przemocy człowieka nad człowiekiem.

Przeciwnie, jeśli gdzie można by się dopatrywać dziś skostnienia, to właśnie w sferach katolickich w Polsce.

To oni z uporem, mimo całkowicie przemienionego socjalnie i ekonomicznie oblicza świata, uważają wciąż jeszcze obie encykliki papieskie „De rerum novarum” i „Quadragesimo anno” za ostatnie słowo w dziedzinie reformy socjalnej i panaceum na wszystkie choroby starze kapitalizmu. Artykuł Jerzego Turowicza „W stronę uspołecznienia” ma nam dowiedzieć, że katolicyzmem interesuje się porządkiem doczesnym świata i że katolicki model świata jest jedyną prawdziwą. Jeśli chodzi o wierzących to rzecz prosta nie zapytają oni autora artykułu, zamieszczonego w pierwszym numerze „Znaku” co znaczy zdanie następujące: „Człowiek istotnie żyje w podwójnym świecie natury i łaski, można nawet powiedzieć w potrójnym — bo z świata natury wyra-

sta pod niebem łaski świat kultury, dzieło rozumu i woli ludzkiej, leżących zresztą w naturze człowieka”. Dla każdego jednak, kto nie godzi na teologiczne przesłanki z których Turowicz wyprowadza swoje wnioski, ta dowolność w ilości światów w których żyje człowiek musi być zastanawiająca.

Te dwa ideologiczne artykuły „Znaku” nie są w jakikolwiek stopniu przekonujące, ich mowa jest zaszyfrowana i czytelnik nie się z nich nie dowie, „Znak” nie polemizuje ze swoimi przeciwnikami, nie dowodzi nie egzemplifikuje, poprostu zakłada zgóry, że czytelnicy żądają tylko upartego potwierdzenia mądrości teologicznej i obstawiania przy swoim. A czytelnik, zwłaszcza czytelnik z przeciwnego obozu, żąda, by mu za-demonstrowano czy katolicka ideologia istotnie wytrzymuje próbę w zetknięciu ze światem, na który chce wpływać.

Pierwszy numer „Znaku” świadczy o tym że intelektualści katolicy woła raczej pozostawać w ramach swojego królestwa „podwójnego, można nawet powiedzieć potrójnego świata”. Tych skłonności do „splendid isolation” nie wykazują natomiast katolicy francuscy, którzy dyskutują z przeciwnikami, zbierają wypowiedzi o komunizmie (vide „Esprit”), żywo kłócą się między sobą, a kłótnia ta płynie stąd, że światna postawa niektórych katolików francuskich z okresu Resistance zalała się całkowicie z chwilą, gdy nadszedł moment realizacji ideałów społecznych Resistance. Katolicy francuscy, jak o tym świadczy list otwarty Andre Mandouze, redaktora „Temoignage chretienne” z okresu Resistance, do Bernanos’a, przebijają na ziemi i wielu z nich tu chce realizować królestwo Boże.

PRZED 20-TU LATY

Że się działo w Polsce Niepodległej, Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast” połączyło się wreszcie z prawicową „Chjeno”, ku której ciążyło wbrew swoim pięknym hasłom i objęło silną ręką rządy, dławiając robotnika. Sprzedawano Żyrardów kapitałowi obcemu, a polskie miasta zawierały umowy z amerykańskimi firmami, by wykonywały roboty inwestycyjne. Ze szkół wychodziły zdeprawowane i szafszycowane jednostki, które zrywały afisze PPS-u, ale rozlepiły mekrologi Nie-wiadomskiego w rocznicę jego stracenia. Minister oświaty wydał rozporządzenie. „Wprowadza się do szkolnych komisji egzaminacyjnych delegata kurii biskupiej”, a sami biskupi zajmowali się, jak to miało miejsce w Poznaniu i Gnieźnie, ustalaniem „odpowiednio moralnych” strojów kobiecych. Specjalne nawet w tej sprawie wyszło orędzie biskupie.

Twardo stał ChjenoPiast przy władzy. Sytuacja stawała się tak niepokojąca, że kongres PPS-u w styczniu 1923 roku zmuszony był powziąć rezolucję, w której stwierdzał, że „utrzymanie demokracji parlamentarnej jako formy ustroju państwowego i obrona jej przed propagandą faszystowską i jakikolwiek zamachami” jest najważniejszym zadaniem partii. Bo co raz bardziej podnosiły głowę elementy faszystowskie. To „jednostronny egoizm stanowy stronnictw włościańskich rozbijał wspólność walki... osłabiał demokrację”, a w konsekwencji miał się fatalnie odbić na potrzebach włościańskich — czytamy dalej w rezolucji. Sytuacja stawała się tak poważna, że gdy po kilku krótkotrwałych gabinetach prezydent Wojciechowski powierzył mi się formowania rządu znów Witosowi, przywódcy socjalistyczni stanęli po stronie człowieka, który miał zbrojnie zwalczyć legalny rząd. Jeszcze nieobacznie wierzone w Piłsudskiego.

Nie długo trwała idylla. Dn. 12.5. 1926 r. ukazał się w nadzwyczajnym wydaniu „Dziennik Ustaw”, na którego jednej stronie znajdowało się suche rozporządzenie: „Na obszarze m. st. Warszawy, województwa warszawskiego, wileńskiego oraz powiatów łukowskiego i siedleckiego zawieszają się prawa obywatelskie: wolności osobistej, nietykalności mieszkańca, wolności prasy, tajemnicy korespondencji, prawa koalicyj, zgromadzenia się i zawierania stowarzyszeń. Podpisano: Prezes Rady Ministrów, Witos”. To Piłsudski wkroczył na most.

Pisała prasa socjalistyczna: „Do walki z drugim wydanem rządu ChjenoPiasta, rządu korupcji i wyzysku, o zdrowy, silny duch w narodzie... wystąpił I-szy Naczelnik Rzplitej — Józef Piłsudski”, ale zastrzegła się: „Jakką zajmie stanowisko Piłsudski wobec zagadnień politycznych w Polsce i jaki będzie jego program, nie wiemy, a od tego uzależniamy naszą partia stanowisko do jego rządów i poczynań”.

Krótko trwała walka na ulicach stolicy i krótką była rozmowa Piłsudskiego z Wojciechowskim. Po czterech dniach rozporządzenie o stanie wyjątkowym uchylł już nowy premier. Mówił Limanowski: „Istnienie rządu Witos’a dla klasy robotniczej i demokracji byłoby klęską bardzo dotkliwą... Przypuszczając można, że Piłsudski będzie się starał zrozumieć żądania klasy robotniczej i będzie się

Znamienne dla czytelnika „Znaku” musi niewątpliwie okazać się to, że jedyny artykuł, w jakim znajdujemy konkretne i treściwe sformułowanie pozycji dzisiejszej myśli katolickiej, to tłumaczenie przez Hannę Malewską, sprawozdawcy artykuł Jean Danielou. „Życie umysłowe we Francji”. W artykule tym znajdujemy między innymi katolicką ocenę działalności marksistów i wypowiedź na temat egzystencjalizmu. Pozatym egzystencjalizmowi reprezentowanemu przez Sartre’a i Camusa zostały poświęcone dwa króciutkie artykułiki, gesto naszpikowane opiniami krytyków francuskich. Interesująca zwłaszcza jest wypowiedź Mouniera o Sartre.

Według Mouniera ideologiczne konsekwencje sartryzmu przed dziesięciu laty prowadziły do faszyzmu. Oba artykułiki zajmują się przedstawicielami egzystencjalizmu ateistycznego, przyczym autor ich zapowiada, że zajmie się skolei egzystencjalizmem katolickim.

Dział recenzyjny „Znaku” jest narażone bardzo ubogi, zaś „Geografia czasopism w Polsce” pióra Stefana Kisielewskiego godna raczej dziennika niż poważnego miesięcznika.

W sumie — spotkał nas przykry zawód, gdyż liczyliśmy z jednej strony na interesującą lekturę, z drugiej zaś na to, że „Znak” podejmie dyskusję i obronę zagrożonych pozycji fideistycznych. Tymczasem nakamiono nas dogmatycznymi skamieniałymi i prawdą o „potrójnym świecie” łaski, natury oraz kultury.

ph

Nie jesteśmy narodem morderców

DO REDAKCJI „KUZNICY”

W 62 numerze „Przekroju” zamieszczono zdjęcia ze stracenia w Pradze Czeskiej przestępcy wojennego K. M. Franka. Ohydne zdjęcia opatrzone podpisem: „Na chwilę przed powieszeniem kat krepus nogi skazańca i zakłada mu stryczek na szyję”.

Nie zabieraliśmy głosu w tej sprawie, aczkolwiek i zdanie samo i ów „smaczek” dziennikarski zrobiłby koło niego przypominał mi żywo zatłumowanie zdegenerowanych typów władze hitlerowskich do publikowania jego rodzaju rzeczy.

Niestety, nie jest to wypadek sporadyczny. Oto pisma łódzkie ogłaszają ze stolatze łódzkie uprasza o możliwość budowania szubienicy dla zbrodniarza Greisera. A byli więźniowie Stutthofu w dniu 4 bm. w Gdańsku, na ochotnika własnoręcznie wieszali skazanych na śmierć jeńców niemieckich z obozu śmierci w Stutthofie. (Tak podaje prasa niemiecka).

Pisza wyraźnie zbrodniarzy i oprawców. Tak. To były najgorszego rodzaju łoty ludzkie, ci Niemcy i Niemczycy Polacy ska-

zani Prawem Rzeczypospolitej na słuszną śmierć przez powieszenie.

Jednak ani tłumy ludności, w przeważnej części młodziutkich dziewcząt i chłopców, nie powinny były asystować temu ponuremu widowisku, ani nie powinni byli znaleźć się „ochotnicy” do roli katów. Kat jest urzędnikiem państwa i spełnia powierzoną mu funkcję, jak i obrońcą z urzędu czy prokuratora swoją. Jest więc różnica między nim a przygodnym „amatorem” z tłumy.

Dawanie w ten sposób upustu najslusznijszym uczuciom potwornej krzywdy wyrządzonej nam przez zbroń hitlerowskich — nie jest jednak słuszne. Owszem, należy je potępić jako przeciwne godności ludzkiej.

My, Polacy, nie byliśmy, nie jesteśmy i nie chcemy być narodem oprawców. Tym właśnie różnimy się od tych, których dziś sprawiedliwe sądy demokratycznych państw skazują na karę śmierci za ich zbrodnie przeciw Człowieczeństwu.

Ewa Szalburg Zarembina

do nich odnosił życiowie”. Niestety, błędne były przypuszczenia sędziwego wodza socjalizmu. Na pierwszej herbatce po przewrocie powiedział Piłsudski: „To będzie rewolucja bez konsekwencji” i — jako że był zmęczony bojem — prosił: „Dajcie panowie odpocząć”. Już 15.5. odmówiła PPS przystąpienia do nowego rządu, ale potem nastąpiła zmiana taktyki. Jeszcze wierzone. Piłsudski zwyciężył, a to jego zwycięstwo musi się stać triumfem zdrowia nad zarzą moralną, postępu i sprawiedliwości nad reakcją, prawa nad samowolą, prawości nad zgłizną” pisał socjalistyczny „Łódzianin”. Zażądała więc PPS natychmiastowego rozwiązania sejmu, ale Piłsudski „nie chciał tak łatwo pozbyć się posłów, którzy najedli się strachu i go nie zapomną tak szybko”. A strąk górników w Anglii, przynoszący Polsce miliony, i udane żniwa sprzyjały jego poczynomom.

W Niemczech rozpoczynały się pierwsze powojenne manewry Reichswehry, gdy polski sejm rozpoczął debatę nad zmianą marcowej konstytucji. Mówił Daszyński: „Polska pełna dziś jest jeszcze najwyższych nadziei, ale i najwyższych obaw... Twórcą przewrotu ostania się milczeniem, ale tym głośniejsz odzwają się ludzie, którzy zaledwie otarli się o jego płaszcz i (tworzą) olbrzymiej miary samowładczą kamarylę, które nie odpowiadają w zupełności tej swobodzie poglądów, w której ma się traktować w państwie. — Gdyby zaś odrodzenie moralne i naprawa Rzeczypospolitej stała się karykaturą, to gorzko żałowała by Polska owych ofiar, ...które padły w dniach majowych”. A naprawa Rzeczypospolitej na prawdę stawała się karykaturą. Wojewodą poznańskim został obszarnek wielkopolski, Bniński; rozpoczęły się masakry robotników po miastach: Inowrocław, Baranowice, Strzyż, Łódź. Kalisz były świadkami szarż policji na bezbronnym tłum, na kreskach zostały 3 białoruskie szkoły z liczbą 514 w 1921 roku, a komisarz m. Warszawy, Sławoj Składkowski konfiskował „Robotnika” za zamieszczenia artykułów: „Bezprawia na Kresach” i „Tragedia robotników ostrowieckich”.

Nie było już wolno pisać o tragediach robotników.

W Rzymie dokonano właśnie zamachu na Mussoliniego, a w Polsce powstawał Obóz Wielkiej Polski. Rząd miał kłopot, czy stać czy siedzieć na otwarciu sejmu. Rząd miał pracę: trzeba było wydać dekret zaostrzający cenzurę prasy i wolności słowa. Depesze donosiły z Londynu: „W chwili gdy Churchill opuszczał Downing Street, tłum zebrany przed gmachem rządu otoczył go przyjmując agresywną postawę, co zmusiło go do ukrycia się w gmachu ministerstwa”. Donosiły depesze z Warszawy: „Na biskupa polskiego kościoła narodowego w USA, 70-letniego Hodure, który przybył z wizytą do kraju dokonano, wczoraj napadu. Sprawcy nieznani”. Natomiast znani byli policji granatowej wszyscy działacze postępowi i znane były policji granatowej metody katowania w więzieniach.

Przewalila się historia Polski przez pierwszy most. Oszołomiła polityków lewicy i wykorzystując ich brak konsolidacji, wielkimi krokami, nieuchronnie podążała ku Zaleszczykom. Tam, na nadodrzańskim moście skończyła się Polska międzywojenna.

Mariusz Margal.

NOTY

Dlaczego milczą pisarze katolicy

Pogrom kielecki wywołał protest tych, którzy pierwsi powinni podnieść głos w chwili, gdy została znieważona godność ludzka. Pracownicy kultury, w tej liczbie wszyscy wybitniejsi pisarze polscy, zadeklarowali swoje stanowisko w tej sprawie, wzywając jednocześnie wszystkich, którzy ze względów technicznych nie mogli złożyć swoich podpisów, do solidarnego akcesu. Przed kilkoma dniami czytaliśmy odezwy potępiające mord kielecki i ideologię, która mord rodzi. Odezwy te zostały wydane przez pisarzy zgrupowanych w Łodzi, w Warszawie i w Krakowie. Podpisali je wszyscy bez różnicy poglądów politycznych i bez względu na różnice ideologiczne. Ze zdumieniem konstatuję, że wśród tych licznych podpisów brak nazwisk pisarzy katolickich.

Dlaczego ci, którzy tyle mówią o „obronie człowieka”, ci, którzy lekają się „nowinek” rzekomo tylko dlatego, że „nowinki” te lekceważą „osobowość” i „indywidualność” człowieka, dlaczego właśnie ci pisarze, szermujący bezustannie frazeologią miłości bliźniego nie położyli swych podpisów pod słowami piętnującymi mord kielecki? Czyżby mord popełniony na Żydach nie był zbrodnią? Nie wydał mi się, by jakikolwiek katolik, a cóż dopiero pisarz katolicki mógł stać na tym stanowisku. Pamiętam również, że pisarze katolicy potępiali zawsze w ciągu tak obfitego w akty barbarzyńskiej nietolerancji, dwudziestolecia, przemoc człowieka nad człowiekiem. Pamiętam odezwy na rzecz uchodźców niemieckich, podpisywane przez wysokich dostojników kościelnych Francji. A może milczenie pisarzy katolickich wynika stąd, że kler polski dotąd jeszcze, mimo apelu organizacji społecznych i mimo wezwania duchownych żydowskich, nie zdecydował się na to czy należy głośno potępić pogrom w Kielcach. Bo nie ulega najmniejszej wątpliwości, że żaden pasterz nie może dopuścić, by jego owieczki zamieniły się w wilki. Nawet jeśli dba tylko o ilościowy stan swojej owczarni.

Złowróżbne, groźne, nie dla kogo innego, jak tylko dla niego samego, milczenie kleru katolickiego, przerwał biskup częstochowski Kubina. Jakkolwiek z uwagą i szacunkiem wysłuchaliśmy słów ks. Kubiny, nie wierzymy w to, by jeden grosz wdowi mógł przeważać szale nienawiści i ciemnoty.

Sledzę uważnie szpaloty pism katolickich. Nie znalazłem w nich prócz niewielkiej wzmianki w „Dziś i Jutro”, żadnego echa zbrodni kieleckiej, ani jednego słowa, które by ją napominało.

Sledzę uważnie, czy nie pojawiają się głosy pisarzy katolickich. Sądzę, że w walce o prawdę, przeciwko pogardzie i barbarzyństwu, wolno przemówić pisarzowi katolickiemu nawet wtedy, gdy kardynałowie zachowują dyplomatyczne milczenie. Jeśli pisarze ci nie przemówią, dadzą złe świadectwo swojej wierzze. Obawiam się, że wówczas nie głos ks. Kubiny, ale to właśnie ich milczenie przeważa szale nienawiści i ciemnoty.

ph

Obłęd

Rabin wojskowy II Korpusu, tj. Armii Andersa, Reubner oświadczył korespondentowi dziennika „New York Post”, że żydzi w Polsce trzymają się w ghetach, strzeżonych przez wojsko. Nie wolno im zajmować się handlem, a rewindykacja mienia, zagrabionego przez Niemców, grozi utratą życia.

Jak Anders potrafił dobrać do kompletu i takiego rabina?

rkm

Do sprawy kieleckiej

Do artykułu mego, zamieszczonego w poprzednim numerze „Kuźnicy” pt. „Podczas procesu Greisera” chcę dodać to, co nie znalazło w nim miejsca.

Jak dowiadujemy się z prasy, w sprawie zamieszanej członkowie milicji kieleckiej, a także i kolejarze, z których niejeden przetrzy mywał na stacjach pociągów i pomagał w legitymowaniu podróżnych, co dla pasażerów Żydów było już zapowiedzią śmierci. Mety społeczne i zdeprawowane jednostki w dość znacznej ilości dostały się do naszego aparatu państwowego. Na tyle odwagi i uczciwości możemy się, sądzę zdobyć, by stwierdziwszy ten fakt, że smutkiem, z tym większą energią zająć się oczyszczeniem aparatu państwowego. Wierzę zaś, że smale odruchy oburzenia w prasie przeciw temu, co jeszcze złe u nas, przyspieszają tylko poprawę i normalizację sytuacji. Wspomniłbym na milczenie większości kleru katolickiego i katolickiej prasy w sprawie antysemityzmu, porównajmy to ze starym przysłowiem, które mówi, że milczenie jest oznaką zgody i zrozumienia, że rzeczowa krytyka i szczerze potępienie nie powinny być hamowane nawet gdy dotyczy najostrzejszych dla nas faktów.

m m

Do wydawców

Pamiętam wydawnictwa w rodzaju „Co tydzień powieść”. Był to właściwie tygodnik wypełniony odcinkami powieści i nowel. Niestety okropnych.

Jak już kiedyś pisałem chłonność dzisiejszego rynku księgarskiego jest wyjątkowo duża. Konjunktura pod tym względem jest lepsza aniżeli po r. 1918. A wtedy to właśnie Boy zainicjował i potrafił triumfalnie wprowadzić do naszego czytelnictwa po raz pierwszy swoją bibliotekę klasyków. Popularyzacja klasyków — wielkiej wartości artystycznej jest zawsze niezaprzeczoną korzyścią kulturalną. Chciałbym dlatego zwrócić uwagę naszych wydawców na szczególnie cenną inicjatywę francuska.

Wpadł mi w ręce numer 22 pisma „Les Belles Lectures” wychodzącego pierwszy rok w Paryżu. Redagowany przez słynnego F. Crommelynka. Egzemplarz kosztuje tylko 10 franków. Jest to tygodnik objętości 8 kolumn dużego formatu poświęcony literaturze klasycznej i współczesnej. Przynosi po prostu pełne teksty arcydzieł drukowane w odcinkach — w ten sposób, by po wycięciu mogły być układane i zszywane w formie książki. Numer, który przeglądam zawierał nowelę „Aline” St. J. de Boufflers (1738—1815), opatrzoną wstępem krytycznym i portretem autora, a dalej odcinek wielkości 3 1/2 kolumny „Manon Lescaut” Prevosta, oraz 2 1/2 kolumny „Memoires de deux jeunes marées” Balzaca. Pismo zapowiadało m. w. publikację Gorkiego (Pierwsza miłość), A. de Chamisso „Historie Piotra Schlemhla”, Machiavela „Le Demon marié”, B. Constant „Adolf”, nowelę Dostojewskiego, Baudelaire'a „Le Spleen de Paris”, E. Sue „Plick et Plock” i nawet Jules Valles'a „L'Insurge”. Komentarze opracował: Julien Benda (do Machiavela), Blaise Cendrars do Corbiere'a, sam Edouard Herriot do Tullera, F. Mauriac do „Adolfa” Benamina Constant.

Apeluję do naszych wydawców o podjęcie analogicznego wydawnictwa. Z pismami Rzewuskiego, Kraszewskiego, Prusa, Chodźki, Jeża, a także i z klasycznymi przekładami Balzaca, Dickens'a, Meréditha, Gorkiego, Gogola.

Dzisiaj to duża zasługa i złoty interes.

zfk

Niemoralne narzędzie

Durkheim dyskutując problem norm moralnych u Kanta pisze: „...jest niemiernie prawdą, że nie potrafie tak wywyższyć człowieczeństwa w drugim, chyba pod warunkiem upokorzenia we mnie, poniżając je do roli środka... Czyż na przykład związek małżeński nie zakłada, że małżonkowie oddają się nawzajem — wyłącznie jedno drugiemu? To też nie ma rzeczy bardziej żalosalnej jak sposób, w którym Kant dedukuje reguły konstytucyjne małżeństwa. W jego oczach ten akt poświęcenia, przez który jedno z małżonków godzi się być narzędziem przyjemności dla drugiego jest, sam przez się, niemoralny...”

Nareszcie wiem co w „tym” jest niemoralnego: oto przemiana dostojnego bytu niepodległej „osobowości” w haniebny byt „narzędzia”.

rkm

Milczenie jest złotem (jakiej walucie)

Jeden z moich kolegów, gdy wyraziłem powątpiewanie, zobrazował mi podłość Żydów. Opowiedział — było to zresztą ze dwa miesiące temu — jak to oddał zegarek do naprawy zegarmistrzowi Żydowi i jak przez tego Żyda oddał zegarek stracił. Po prostu: Żyda (nb. jedynego w miasteczku) zamordowano, sklep mu ograbiono, a zegarek był, psiakrew, pamiętką! I drogocenną! Czyż można, zapytał, nie być antysemitą?

O oświadczeniu kardynała Hlonda dowiedziałem się po raz pierwszy przez Nowy Jork via BBC. Był właśnie fadning i nie wiedziałem czy ja się przesyłałem czy też jest to nowy trick andersowskiej propagandy. Dwa dni później przeczytałem kardynalskie oświadczenie w polskiej prasie. Złożone w Warszawie dotarło do Polski przez Nowy Jork i Londyn. Niech mi BBC i radiofonja amerykańska wybaczą niesłuszne podejrzenia.

A więc temu, że antysemityzm istnieje w Polsce, Żydzi są winni. Nie rasowa nienawiść jest jego przyczyną i nie zafananie i ciemnota, ale pożalowania godny fakt, że Żydzi biorą udział w polskim życiu publicznym. Ze poeci i literaci, artyści i reżyserzy, muzycy i plastycy profesorowie i uczeni, jeżeli są żydowskiego pochodzenia nie baczą na to i ośmielają się myśleć i czuć po polsku i dla Polski pracować.

Francuski katolik, Paul Verroy powiedział: „Jest sprawa zasadnicza, by zrealizować lepszy świat, dlatego bezczynność jest zarówno antykatolicka jak antykomunistyczna”. Ale naszemu duchowieństwu nie można przeczyć niczego zarzucić — robi co może. Wszyscyśmy czytali słowa oburzenia w prasie katolickiej i słyszeli gromkie kazania. Kler jest co prawda nieco zmęczony i wy-

czepany walką z reformami społecznymi i cywilnym prawem małżeńskim więc nie może z takim zapałem głosić miłości bliźniego, ale na ogół swój obowiązek spełnia. Stwierdził to sam kard. Hlond. I niepotrzebnie apelują do duchowieństwa partie polityczne, organizacje społeczne, związki zawodowe, instytucje kulturalne. Kler katolicki dobrze spełnia swój obowiązek przez swoje milczenie.

mm

Było cymbalistów wielu...

W ostatnim „Odrodzeniu” znajduję następujące bardzo dziwne i zagadkowe wyznania uczonego p. Józefa Władysława Reissa.

„Muzyk żyje dźwiękiem; muzyka jest niejako w nim samym; on jest nią na wskroś przepelniony; śpiewak jest bowiem sam swoim instrumentem, który rozbrzmiewa pełnią dźwięku ze wszystkimi modyfikacjami najsubtelniejszych odcieni; wirtuoz gra na swym instrumencie, który staje się jakby częścią jego własnego organizmu; dyrygent gra na instrumencie zbiorczym, jakim jest chór, orkiestra lub obydwie te czynniki zespolone ze sobą...”

Głodny Villon już opiewał, że samą miłością żyć nie można i musiał instrument swój powiesić na kołku, kiedy brzuch miał pusty. Zarty żartami, nie ma się co dziwić belkotowi p. Reissa, skoro stwierdza uczenie i do stojaśnie, że muzykologia, jako dyscyplina socjologiczna musi szukać wszechstronnego związku z biologicznymi warunkami życia... Tak się mści biologia.

jk.

Trzeba się na coś zdecydować

Okropności w prasie przedwojennej było dużo. „Z obowiązku dziennikarskiego”. Sprawozdania z morderstw, z procesów kryminalnych. Po wojnie weszliśmy w inny ustrój, zdawałoby się, że na „liberalistyczne” metody producentów gazeciarskich nie ma już miejsca, że zwiększanie konsumpcji; czytelnicy (czyli zysku kapitalistycznego) przy pomocy ordynarnej sensacji, pochłanianej przez rozgorączkowane kucharki, panów w sztywnych mankietach i troskliwie wychowywaną młodzież należy i musi należeć już do przeszłości.

Lata wojny uczyniły nas wszystkich politykami i sprawy takiego czy innego ustroju świata i zakątku, w którym wypadło nam żyć stały się jedynymi sprawami godnymi społecznego zainteresowania i przejęcia. Sprawy polityczne w najszerszym znaczeniu tego słowa, sprawy przebudowy, sprawy kultury, sprawy życia.

„Kryminal” poszedł precz ze szpalot dzienników. Niektórzy właśnie dlatego uznali je za szare, nieciekawe, jałowe, nie informujące dokładnie o kraju.

Rzeczywiście zbrodnia z życia kraju precz nie poszła. Lata ohdy nie mogły przerobić ludzi w aniołów. Przeciwnie, często przemieniały ich w szakala.

Hość ofiar — pomordowanych i żywych — jest tak wielka po tej wojnie, że uczucie zemsty i nienawiści musi być długo powszechnie. Ma swoje prawo i miłość bliskich i patriotyzm i człowiek, którego bardzo skrzywdzono.

Prasa powojenna (i literatura obozowa w książkach) przyniosła obfity materiał dokumentarny o martyrologii mas ludzkich. Każdy z zamordowanych ma prawo do wspomnienia i trzeba mieć odwagę dowiedzieć się jak wówczas było!

Potem przyszły procesy morderców. Imnież w indywidualistycznej kulturze ery odległej od nas o ogrom tych sześciu lat. Procesy morderców o takich cyfrach ofiar, o takich metodach pracy — że obłęd tamtych lat groziłby każdemu z nas, gdybyśmy umieli jeszcze odczuwać sprawy zwyczajnie, jak dawniej.

Każdy proces i każdy wyrok legitymuje się sam — wina przekracza wytrzymałość kodeksów; patriotyzm i prawo każdego z nas do sprawiedliwości legitymuje zainteresowanie nasze tymi procesami.

Ale sprawozdania z nich spełniają — pod obsługą patriotyzmu i polityki — tę samą rolę sensacyjnej strawy kryminalistycznej, jaką spełniały przedwojenne sprawozdania brukowców z aktualnych, albo przemyślnie wygrzebanych z archiwów niezwykłych morderstw i znęcań się nad ofiarą. Pomnożyła się tylko skala wymagań czytelnika. Stepił podczas tej wojny.

Ostatnio pisma nasze — z „Przekrojem” na czele — przynoszą już i materiały fotograficzne. Szubienicze skazańcy przed egzekucją w czasie związowania ich, w chwili zaciągania stryczka i potem.

Nie chce być świętoszkiem i nie chce wychowywania świętoszków. Niemcy mordowali i nie wiedzieli o tem. Ci porządn — wszyscy. Gdy sądzi się, orzeka karę i wykonuje ją — nie należy nie chcieć o tym wiedzieć.

Ale wychowywanie mas (nie chce użyć wyrażenia nadżywianego w takich sytuacjach; młodzieży) taką lekturą i takimi ilustracjami jest karygodne!

Bestia chce krwi i jej szuka. Ustrój bezpośrednio nie przeobraża moralnie człowieka. Trzeba go wychować. Ustrój życia społecznego nie może wychowywać katów!

Trzeba się na coś zdecydować!

Gdzie wrażliwość naszych pisarzy, że dotąd w tej sprawie milczą?

Stanisław Śreniowski

Nie do wiary, panie Niewiarowski

W Nr. 23 „Odry” p. Marian Niewiarowski zamieścił recenzję z tomu nowel Wojciecha Żukrowskiego „Z kraju milczenia”. Niezręczny recenzent skrobie.

„Bohaterowie Żukrowskiego — to ludzie, którzy czując i przeżywając silniej i głębiej niż inni — wierzą głębiej i silniej w Boga; czują Go rzeczywistość w sobie i dlatego „ch katolicyzm jest tak humanistyczny, niemal Mauriacowski. Bo cóż n. p. robi ks. Paweł w opowiadaniu „Przed furtek”? — W momencie, gdy pozycja zagubiona w odmęcie wojny oddziału zależy tylko od sprzyjających warunków terenowych i większych lub mniejszych możliwości ukrycia się — ks. Paweł wychodzi z kryjówek, dekonspiruje oddział i wybiega naprzeciw Niemcowi, by go uprzedzić o groźącym mu niebezpieczeństwie...”

Mamy już księdza kollaboracionistę. Drogi panie Niewiarowski, ręczę panu, to nie ma nic wspólnego z Mauriaciem. To zwykła insynacja, pod adresem wielkiego francuskiego pisarza. Ale czytajmy dalej!

„Pod śniegiem” znów zapelnia łukę, o której pisał niedawno Ed. Csato w „Kuźnicy”. Ukazuje nam fragment z tragicznego życia Żyda, ukrywającego się na fałszywych papierach po stronie „aryjskiej”. „Wielkiego tygodnia” Andrzejewskiego. Ale Żukrowski opowiada spokojnie o tym, jak było, a nie o tym, jak by mogło być. Doktora Ziemiana ratuje polska rodzina, a w momencie krytycznym ścisłej — Polak — katolik, dr Podwiński. Ratuje dlatego, że dr Ziemian jest ochrzczony. „Prócz wspólnej wiary” — nienawidzi do Niemców wzmacnia jednoczące ich ognia. Właśnie na przekór wszystkim stanie przy nim” — myśli żona Podwińskiego”.

Panie Niewiarowski, a co by się stało, gdyby dr. Zicman nie był ochrzczony. I skąd można było o tym wiedzieć podczas okupacji. To, już naprawdę bardzo rodzime. Ani śladu wpływu francuskiego. Co on winien, że ma takich recenzentów, którzy nie potrafią nawet stręścić powieści.

Ale panie Niewiarowski, „jak się nie ma co się lubi, to się czyta czego nie ma” w książce...

jk.

SPROSTOWANIE

W recenzji mojej z „Rzeczy Ludzkiej” M. Jastruna pt. „Wolność — rzecz ludzka”, drukowanej w 27-ym numerze „Kuźnicy”, został opuszczony cały dłuższy passus. Po cytacie, kończącym się słowami:

„...Ze jablek białe i twarde czoła Pękają z wiedzy o wielkim roku”,

opuszczono następujące zdania: „Dlatego też grecki mit o Persefonie nabiera tu właściwego znaczenia. Człowiek dąży do oczyszczenia się w przyrodzie, ale przyroda „staje się” poprzez człowieka. W tak pojęty świat natury, tam „gdzie serc śmiertelny popiół” wytryska łodygami traw, trudno się schronić, ten świat natury nie nadaje się dla naskórkowych doznań dla witalistycznych wykrzyków, dla opisywactwa wreszcie. I zrozumiałe się staje, dlaczego w tej trudnej w gruncie rzeczy poezji tak mało jest ornamentów, pięknych gzymsków, formalistycznych sztuczek.

Jak już powiedziałem, poezja ta nie jest łatwa. Składa się na to wiele przyczyn. Jej kunsztowność nie jest niczym innym jak kondensacją. Każda metafora, każdy obraz obciążony jest nie tylko silnym ładunkiem emocjonalnym, lecz i wagą pojęć. Oczywiście, że trudno jest przeprowadzić ścisłą granicę, gdzie kończy się oddziaływanie emocjonalne, a gdzie zaczyna się watek myśli filozoficznej — czynnik ten w wierszach Jastruna w ścisłym pomiedzy sobą pozostają związki. Właśnie w tej harmonii kryje się zapewne siła oddziaływania wierszy „Rzeczy Ludzkiej”.

Seweryn Pollak

CENY OGŁOSZEŃ: 1 kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpalte.

Redaguje Zespół „Kuźnicy”. Redaktor Naczelny Stefan Żółkiewski. Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel 205-42

D-09289

Wydawca: Zespół „Kuźnicy”. — Drukarnia Ścigłdzielni Wydawniczej; „Czytelnik”, Nr. 4, ul. Żwirki 2.